

BARTOSZ CŹWIR



KRUCJATY a sprawa polska

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXXI Nr 7(359) Żelów, lipiec 2026

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Grzegorza Bazylaka, Renaty Blicharz,
Grzegorza Chwieduka, Magdaleny Cybulskiej,
Andrzeja Gnarowskiego, Bogdana Nowickiego,
Klaudii Piwowarczyk, Macieja Płużka, Pawła
Podlipniaka, Wioletty Szarwas

Andrzej Dębkowski – *Strażnik rozproszonego
skarbcza*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia
codziennosci* (237)

Stefan Jurkowski – „*Zwis comica*”

Joanna Friedrich – *Półmetek*

Andrzej Walter – *Mizerie literackich zamrażarek*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (82)

Adam Lizakowski – *Czy poeta Czesław Miłosz
był kosmitą?* (12)

Mirosław G. Majewski – *Buszujący
w antykwariatach* (13) oraz *Portret artysty
dojrzałego*

Juliusz Wątroba – *Uwiedziona?*

Andrzej Gnarowski – *Poeta „ze specjalną
dolegliwością” ...*

Eugeniusz Kurzawa – *Bardzo intrygująca książka*

Stefan Michał Żarów – *Światło, które pamięta*

Jan Belcik – *Jubileusz Artysty. 75-lecie Jana Tulika*

Karol Czejarek – *Śmierć rysownika
nad nami*

Marcin Kurcbuch – *Heksagonalne komórki
twórczości Joanny Nowocień*

Daniela Ewa Zajączkowska-Hynas – *Dialog
prawdy i poezji*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. © Andrzej Dębkowski

Kronika

Wanda Wasik nie żyje



Odeszła **Wanda Wasik** – pisarka, malarka, poetka, regionalistka, kobieta niezwyklej wrażliwości i wielkiego talentu. 24 maja, w wieku 95 lat, zamknęła się piękna i bogata opowieść o życiu odda-

nym sztuce, literaturze i pamięci o człowieku. Pozostawiła po sobie nie tylko książki, obrazy i wiersze, ale także ślad dobroci, szlachetności i cichej mądrości, którą obdarzała innych.

Urodzona w Poznaniu, całe swoje życie była związana z kulturą i sztuką. Studiowała historię sztuki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, ukończyła także Studium Plastyczne pod kierunkiem profesorów Stanisława Szczepańskiego i Wacława Twarowskiego. Uprawiała rysunek i malarstwo, miała za sobą liczne wystawy indywidualne, a jedną z ważniejszych była ekspozycja w Muzeum im. Józefa Ignacego Kraszewskiego w Poznaniu.

Jednak przede wszystkim pozostanie w pamięci jako pisarka i poetka. Debiutowała już w 1968 roku na łamach „Nurtu”, publikowała w almanachach, prasie regionalnej i Polskim Radiu. Z niezwykłą czułością i wyczuciem słowa opisywała ludzkie losy, pamięć dzieciństwa, dramat wojny i codzienność zwykłych ludzi. Jej książki – „Dzieciństwo w Kraju Warty”, „Między łąką a ogrodem”, „Dojrzwanie w słońcu”, „Kryptonim K-22” czy „Mój Orfeusz” – były świadectwem epoki, ale też zapisem osobistej wrażliwości i głębokiego humanizmu.

Za swoją twórczość i działalność została uhonorowana wieloma wyróżnieniami, w tym Nagrodą Pracy Organicznej im. Marii Kopnickiej oraz tytułem „Zasłużony dla miasta i gminy Swarzędz”. Była członkiem Związek Literatów Polskich i aktywnie wspierała debiutujących autorów, współpracując z wydawnictwem Bonami.

Mieszkała i tworzyła w Kobylnicy pod Poznaniem. Tam była nie tylko artystką, lecz także dobrym duchem lokalnej społeczności. Człowiekiem otwartym, serdecznym, zawsze gotowym do rozmowy i pomocy. Prawdziwy człowiek renesansu – łączący talent literacki, malarski i ogromną wiedzę z niezwykłą skromnością.

Żegnamy osobę wyjątkową. Odeszła Wanda Wasik, ale pozostają Jej słowa, obrazy i pamięć o pięknym życiu przeżytych z godnością, pasją i miłością do sztuki. Pozostanie obecna w swoich książkach, w poezji, w obrazach i w sercach tych, którzy mieli szczęście Ją znać.

[ad]



Konkursy



III Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Laur Adama – 2026”

Miłośnicy poezji i słowa pisanego po raz kolejny mają powody do radości. Zakończył się III Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Laur Adama – 2026”, którego organizatorami są: Adam Jarubas – Poseł do Parlamentu Europejskiego oraz Stowarzyszenie Lokalnych Liderów PONIDZIANIE w Pińczowie.

Celem konkursu było inspirowanie do aktywności twórczej, promowanie talentów literackich oraz popularyzacja współczesnej poezji. Inicjatywa już na stałe wpisała się w kalendarz ważnych wydarzeń literackich regionu, przyciągając autorów z różnych zakątków Polski. Tegoroczna edycja potwierdziła, że poezja wciąż pozostaje żywą i ważną formą artystycznego wyrazu, pozwalającą opowiadać o sprawach najważniejszych – codzienności, pamięci, miłości, przemijaniu i nadziei.

Nadesłane utwory oceniało jury w składzie: **Adam Gwara**, **Adam Ochwanowski** oraz **Adam Ziemianin**. Jurorzy podkreślali wysoki poziom konkursowych prac, różnorodność tematów i form oraz dużą dojrzałość wielu autorów. Po wnikliwej analizie wszystkich nadesłanych tekstów jury postanowiło przyznać następujące nagrody:

I nagrodę oraz 2000 złotych otrzymała **Wioleta Szarwas** ze Stanowic, występująca pod godłem „Silnica”, za wiersz „Weki”.

II nagrodę oraz 1500 złotych przyznano **Pawłowi Podlipniakowi** z Radomia, autorowi wiersza „I jeśli jesień”, nadesłanego pod godłem „Nawias”.

III nagrodę oraz 1000 złotych zdobył **Bogdan Nowicki** ze Świętochłowic, występujący pod godłem „Modrzew”, za utwór „Wierność”.

Jury przyznało również trzy równorzędne wyróżnienia po 500 złotych: **Grzegorzowi Chwiedukowi** z Kępic (godło „Mleko”) za wiersz „...Niedziela pachnie rosą...”, **Magdalenie Cybulskiej** z Łodzi (godło „Skowronek”) za utwór „Podróż po cięgiem”, **Maciejowi Płużkowi** z Jawiszowic (godło „Łaski pełna”) za wiersz „Krynica”.

Na szczególne uznanie zasłużył także utwór „modlitwa ewy” autorstwa **Klaudii Piwowarczyk** z Chotla Czerwonego, nadesłany pod godłem „Wilga”. Na wniosek jury

przyznano mu specjalne, dodatkowe wyróżnienie wraz z nagrodą w wysokości 500 złotych.

III Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Laur Adama – 2026” po raz kolejny pokazał, że polska poezja ma się dobrze, a wśród autorów nie brakuje osób obdarzonych wrażliwością, wyobraźnią i umiejętnością zamykania emocji w pięknych, poruszających wersach. Organizatorzy już dziś zapowiadają kolejną edycję wydarzenia, które z roku na rok umacnia swoją pozycję na mapie najciekawszych konkursów poetyckich w kraju.

(Nagrodzone wiersze na stronach 6-7)

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Kazimierza Ratonia – Olkusz 2026

Galeria BWA w Olkuszu i Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne FRAZA ogłaszają XXII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Kazimierza Ratonia – Olkusz 2026.

Każdy z uczestników konkursu proszony jest o nadesłanie jednego zestawu wierszy zawierającego 5 utworów (łącznie około 150 wersów) niepublikowanych w wydawnictwach zwartych i nienagrodzonych w innych konkursach – każdy utwór należy nadesłać w czterech egzemplarzach, zaopatrzone w godło (pseudonim). Godło należy umieścić także na dołączonej do zestawów zaklejonej kopercie. Wewnątrz koperty powinny się znaleźć dane osoby: imię, nazwisko, adres, numer telefonu, e-mail, wiek oraz kilka słów o ewentualnym dorobku. Do danych osobowych należy też dodać kopię dowodu wpłaty 30 zł opłaty konkursowej – konto: PKO BP 56 1020 2430 0000 8102 0043 4845 (z dopiskiem w tytule przelewu: „opłata na konkurs im. K. Ratonia w GSW BWA Olkusz”). Prace prosimy przysyłać pod adres: GSW BWA w Olkuszu, ul. Szpitalna 34, 32-300 Olkusz, z dopiskiem na kopercie „Konkurs im. K. Ratonia”.

Termin nadsyłania prac upływa 30 września 2026 roku (decyduje data stempla pocztowego). Uwaga, warunkiem dopuszczenia do konkursu jest uiszczenie opłaty konkursowej. Prace nadesłane na konkurs nie będą zwracane.

Jury w składzie: Magdalena Rabizo-Birek (krytyk literacki, b. redaktor naczelna kwartalnika „Fraza”) i Franciszek Nastulczyk (poeta, tłumacz), wybierze najlepsze zestawy, a nagrodą będzie wydanie zwycięzcy lub zwycięzcy autorskiego tomu.

Oficjalne rozstrzygnięcie konkursu odbędzie się w listopadzie lub na początku grudnia 2025 r. w siedzibie Galerii BWA w Olkuszu, ul. Szpitalna 34. Organizator nie ponosi kosztów dojazdu nagrodzonych i wyróżnionych autorów. Laureaci mają za to zapewniony bezpłatny nocleg w Olkuszu.

Szczegółowe informacje o konkursie im. K. Ratonia udzielane są telefonicznie: 660 404 840 lub e-mailowo: galeriaolkusz@op.pl

Andrzej Walter

Mizerie literackich zamrażarek

W środowisku literackim, szczególnie tym bardziej hermetycznym, akademickim czy awangardowym moja postawa oceniana jest jednoznacznie jako naiwna, a najczęściej używa się określeń „anachroniczny” czy „sentymentalny” jakby to miały być przeraźliwe obelgi. Tak, jestem anachroniczny, sentymentalny, naiwny. Sprzeciwiam się cynizmowi, wyrachowaniu, obrzydliwym matactwom, układom, układzikom, sieci powiązań i dźwięgom towarzyskim w promowaniu kiczu i szmiry, ależ, ależ, nazywanej niejednokrotnie „wybitną”.

Mam w całkowitej pompie utyskiwania gryziopiórków upadających dziedzin nauki, całą tę ich powagę patosu i nobilitowania literackiego łajna opartego na: ironii, dystansie i cynizmie. Mój brak nowoczesnego wyrafowania, moja walka z wiatrakami, moja prześmiewna donkiszoteria i moja dychotomia zawodowa to całkiem niezły oręż do walki z miałością intelektualną ukrytą pod warstwami lingwistycznych frazesów opatulonych pseudonaukowym bełkotem. W – jak sądzę – najbardziej dziejowym z dziejowych sporów o kulturę jest nas wbrew pozorom bardzo wielu po tej samej stronie muru. Po prostu nie lubimy jak nam się wmawia, że dziełko bez treści, bez narracji, bez wartości i cnót to warte Nobla arcydzieł(k)o, czy jak nam się wciska tego czy owego delikwenta jako nieznanego wybitnego, któremu powinniśmy wiązać z pokorą i czołobitnością sandały u stóp (a najbardziej to kupować jego wybitnie nudne i niezrozumiałe plwociny literackie nagrodzone tu i ówdzie).

Jakże smutnym jest fakt, że w tę hucpę dają się wpłacać profesorowie uniwersytetów, szefowie katedr, było, nie było, wielcy fachowcy tej dziedziny, dziedziny, przynajmniej dalece podupadłej, acz wciąż jeszcze przecież żywej. Rozumiem ich motywację, najczęściej wyrażoną konkretnymi kwotami na kontakach, które w porównaniu do realnego świata są banalnie niskie, ale dla nich niebotycznie kuszące i wygłuszające porywy sumień. Pecunia non olet jak mawiali starożytni Rzymianie i tak to do dziś pozostało.

Mówiliśmy jednak o depresjach, pardon, cierpieniach młodego Waltera. Otóż zapewniam Was moi interlokutorzy – Walter nie cierpi. Walter ma Was (hipokryci i narcyzowie wszelacy) w tej samej pompie co poprzednio oraz tam, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę i śmieje się z Was coraz głośniejsze, coraz silniejsze, do rozpuku i z coraz większym przekonaniem, że nic się już z Wami zrobić nie da. Podpisaliście cyrografy i pozamiatane. Wasz głos wołający również i na naszej puszczy brzmi dziś bardzo lichy i marnie. Nie pomogą Wam żadne góry literatury, żadne szczury (w głównych rolach) i bzdury, które tak obficie wydają się od wielkiego dzwonu do łaskawie zaświeconych obiektywów kamer. Widzowie

Was posłuchają, pokiwiają głowami, wyrażają zachwyt i uniesienie, a potem i tak kupią kryminał, najlepiej zagraniczny, gdyż i lepiej napisany, i bardziej wymyślny, i bliższy życia i realnym problemom, słowem napisany sprawniej, atrakcyjniej i ciekawiej. Cały Wasz dorobek dotknie ten sam przemiał, który pochłonie i naszą twórczość, z jedną wszakże różnicą. Ceny sprzedaży własnej duszy.

Współczesna teoria literatury bawi się zatem w ten chłód zdystansowany, chłód ich zdaniem niemal doskonały, zamrażarkę wręcz, ścigając znowu w ich tylko mniemaniu, kicz i sentymentalizm, wstawiając w te miejsca rebusy intelektualne, uważając piękno za anachroniczne, a w to z kolei miejsce podstawiając: szok, problemy czy obnażenie (się), a nie zachwyt. Zachwyt to dla Janka Muzykanta, dla cierpiącego Wertera, a my, tacy dumni, wyemancypowani łaskawie i chłodno wchłaniamy brzydotę serwowaną nam niczym ambrozję.

Czyż to nie obrzydliwe?

Dochodzimy do sedna tego rozważania. Mamy zatem sztukę, która w postaci przykładowo poezji stała się hermetycznym laboratorium dla garstki głównie samych piszących, mamy utratę kontaktu z realnym czytelnikiem i odbiorcą, mamy też już w samym wnętrzu owego laboratorium grupkę ustosunkowanych typów, którzy zahaczyli się o jakąś kasę i rozdają (samym swoim) synekury nagród, którzy później wychodzą przed ten pustynny naród i mówią – tak, ja jestem poetą – i pokazują te hieroglify strof o niczym upstrzone guanem i bólem (oj, tak, czasem bólem, ale to chyba akurat dobrze)... Szkoda, że nikt niczego nie rozumie, ale gdyby rozumiał to taki profesor nie mógłby dorobić, ale najsmutniejszym jest fakt istnienia tutaj tej jeszcze innej strony barykady mianowicie władz, decydentów i nawet bibliotek (jak już skończą potańcówki), bo przedstawiciele tegoż z kolei gatunku, również niewiele czytający łykają te frazesy jak pelikan rybę i rzucą oni skromnym groszem na to i na owo, no... i później przekraczamy sobie znów kolejne góry literatury, na bosaka i bez prowiantu, ale przecież dziarsko i skutecznie. Niektórzy robią nawet przy tej okazji (sic!) warsztaty, w myśl staropolskiej reguły „uczył Marcin Marcina, a sam głupi jak świnia”.

Jestem z Gliwic. Piękne miasto dwóch niedawnych wielkich poetów – Różewicza i Zagajewskiego. Przeszłych przecież poetów. Minionych, ale nadal wielkich. I wyobraźcie sobie, my też mamy takiego swojego literackiego śląskiego trolla, akademickiego narcyza, który idealnie spaja wcześniej opisane wątki. Dla przykładu: warsztatowej mizerii: ten pan to uosobienie naukowego rzemieślnika, który nie ma nic do powiedzenia, ale świetnie opowiada żargon. Jego „twórczość” to puste słowa, którymi maskuje brak autentycznej

pasji czy odkrywczości. To „mizeria” ubrana w profesorską togę. No i oczywiście *Pecunia non olet*: Jako karierowicz nie kieruje się etyką, lecz zyskiem. Granty, stanowiska i układy są dla niego ważniejsze niż prawda. Pieniądze i wpływy „nie śmierdzą”, nawet jeśli zdobywa się je kosztem studentów czy rzetelności. Poprzez zamknięty krąg władzy, mediów (jedyną słuszną Gazetę) i towarzyskich powiązań z wyżej wymienionymi zatruwa teraz umysły tej rachitycznej garstki pozostałej przy bibliotekach pomiędzy potańcówką a dj-przygodą.

Szanowni, Drodzy, przecież to kompletny upadek. Degrengolada totalna, staczanie się literatury w przepaść. Ludzie prawdziwie, realnie czytający i tak nie słuchają tych bzdur i bredni, a każdy czyta to, co sprawia mu radość, a nie tę lansowaną grafomanię, od której wzbiera w czytelniku tylko obrzydzenie i powątpiewanie w naturę człowieczeństwa.

Tak. Do tego to właśnie prowadzi. Śledzę stale wszelkie rankingi, zestawienia, oceny książek i drogi nasze się rozchodzą. Dalece rozchodzą. Wkrótce akademicy zostaną z ręką w jedynie swoim własnym nocniku. Oby jeszcze mieli go gdzie postawić. Ja wiem, śmierć bywa gorzka. Ręka w nocniku to jeszcze nie taka tragedia. Prawdziwą tragedią jest cisza i brak lustra. Kończy się uzurpowana wielkość. I to jest realna śmierć.

A literatura? Przeżyje. Bo jak wiem żyje i żyć będzie. Wielkie książki, ważne, dziejowe pozycje, zawsze będą popularne, nawet w mniejszym gronie czytelników, ale tamte paskudy – dziś ogłaszane wybitnymi na wyrost – przemijają tak szybko jak szybko ustawiono je na świecznikach. I nastąpi przemiał, wielki wspaniały przemiał. Byle tylko nie zapłonął, niczym sto temu w stolicy świata. Świata, który później idealnie i miarowo runął. Runął i się już nie podniósł.

Proponuję na koniec powołanie ruchu, ruchu Literatury Normalnej, literatury prawdziwej, opartej jak u Myśliwskiego, na sile opowieści, na emocjach, na wspomnieniach, na odwiecznych prawdach i zachwytach. Skoro tylu nas jest, dajmy realny odpór chładowi, sztuczności, wyrobom *literaturopodobnym*. Twórzmy listy i rankingi tytułów „kontrowersyjnych”, które połowa snobuje, a druga połowa pali w piecach, odważnie nazywajmy rzeczy po imieniu. Inaczej pochłonie nas cisza i milczenie oraz świat, który jest nam obcy. Świat literackiego rebusu, sztucznych tekstów bez serc i duszy, tekstów dekonstrukcji językowej zamiast nadziei.

Coraz częściej znajduję prawdziwą literaturę w antykwariatach. Pośród pożółkłych wolumenów staroci. Pośród tekstów sprzed lat i epok, a jakby dziś pisanych i jakby o nas. Deja vu? Tam znajdziecie wybitnych, tu jedynie wybitnych albo nie w ciemni bytich... *Vivat Academia, vivant professores!*

Juliusz Wątroba

Uwiedziona?

Zaczeplił mnie na ulicy. Bezcelnie. Powiedział wprost, że wpadłam mu w oko. On mi też wpadł. Musiał zresztą każdemu wpaść, kto go tylko zobaczył, bo wyglądał nietypowo, kolorowo, jak papuga z stadzie wróbli. Nie miał wprawdzie wielobarwnych piórek, ale za to czerwony kapelusz, żółta marynarkę, niebieskie spodnie i pomarańczowe buty. Spod kapelusza wystawał długi kucyk siwiejących włosów, wyglądający jak dyndający z tyłu głowy pędzel! Od razy wiedziałam, że to artysta i w dodatku stuknięty. Bo nikt przy zdrowych zmysłach nie chodzi tak ubrany! Jak pajac!

– Może byś poszła ze mną na kawę? – zaczął bez zbędnych wstępów.

– Dobrze – zgodziłam się bez zastanowienia, sama nawet nie wiem czemu. Miał w sobie jakąś magiczną siłę, którą mnie przyciągnął jak magnes opiłki żelaza. Poszliśmy do kawiarni. Kawa była pyszna, a on gadatliwy jak mało kto. Nawet mnie nie dopuścił do słowa tylko nawijał i nawijał, a ja słuchałam z rozdziawioną buzią, bo miał gadane! Po godzinie wiedziałam o nim wszystko, o czym chciał, żebyś wiedziała. Jakim to jest genialnym artystą malarzem, że Van Gogh mógłby się od niego wiele nauczyć, wtedy nie byłoby w jego obrazach tyle brudów i niedoskonałości, a Falałowi by podpowiedział jak malować akwarele, żeby to nie wodne farby nim rządziły, a on przewidywał zachowanie się farb! Jak zdążyłam mu się wtrącić w wartki potok słów i zapytać, jaką kończył uczelnię artystyczną, to nie odpowiedział, tylko zaczął rzucać nazwiskami wybitnych artystów, którzy go uczyli, a poza tym, jak mówił, a ja zobaczę niedługo, jest genialny, w związku z tym ma całe rzesze wrogów w artystycznym środowisku, którzy zazdroszczą mu talentu i sukcesów komercyjnych, a jego obrazy są na całym świecie, w całym układzie słonecznym i w naszej galaktyce... Tu przerwał, bo widział, że jednak przeholował i zagalopował nieco za daleko i zaczął z innej beczki: gdzie to był na plenerach, oczywiście międzynarodowych i z kim się spotykał, i jak się wszyscy zachwycają jego obrazami, a kto się nie zachwyci, to nie ma gustu, artystycznego smaku, ani się nie zna na sztuce. I tak paplał ze dwie godziny, a ja, jak zahipnotyzowana, słuchałam jego słów o nim samym, w których był gigantem i to takiego formatu, że Leonardo da Vinci wespół z Michałem Aniołem, gdyby dzisiaj żyli, to nosiliby za nim sztalugi i myli w rozpuszczalniku pędzle. Kawa się skończyła. Mój czas też. Chciałam się pożegnać, ale zatrzymał mnie na chwilę i powiedział, że mam tak ciekawą i inspirującą twarz, że musi namalować mój portret! A ja, łatwowierna idiotka, jak na tę kawę, dałam się zaprosić do jego pracowni, by mu pozować do tego portretu, bo – jak stwierdził – przejdę do historii.

Pracowania rzeczywiście zrobiła na mnie wrażenie. Był tam nieopisany bałagan, choć

właściwie powinienam powiedzieć, że nieład artystyczny. Gołe manekiny, wrzeszczące papugi w klatce, stare krzyże wiszące u sufitu, zdezelowane instrumenty: kontrabas, skrzypce, akordeon, reprodukcja „Ostatniej wieczery”, za to oryginały jego obrazów.

Posadził mnie w jakimś wielowym fotelu, przykrytym czerwonym aksamitem i zaczął malować. A na jego twarzy malowało się to zdziwienie, to zachwyt, to natchnienie, które skutecznie mieszało farby wyciskane z tubek na paletę, przenosząc je na płótno pędzlami różnych rozmiarów.

– To najdroższe farby, najlepszych firm: Maimeri, Renesans. Rojal-Talens... I pędzle też z najwyższej półki! Z włosia borsuka! – wytłumaczył mi rzeczowo i z dumą, widząc moje zainteresowanie tym, co wyprawia. A zachowywał się dziwnie: jak to artysta, to podchodził blisko, na odległość kilku centymetrów i gapił mi się w oczy; to odchodził pod samo okno, by z przechyloną w prawo głową i przymrużonymi oczami patrzeć, jak wyglądam. Mruczał coś pod nosem, gadał do siebie, że światło coś nie to, że jestem twarzowo – zmysłowa, a to ponoć wielką zaletą, walorem, a nawet fakturą malowanej modelki. I tak do wieczora. Nie mogłam już dłużej wysiedzieć, prawie bez ruchu. Tym bardziej, że wymyślił, że mam się uśmiechać „ustami czerwonymi jak róża”. Więc z tym przylepionym różanym uśmiechem siedziałam jak idiotka, marząc o tym, by prócz tego sztucznego wykrzywienia ust, mieć także kolce od róż, którymi bym go kłuła, by albo szybciej malował, albo dał mi święty spokój. Jakby znał moje myśli, bo nagle rzucił pędzle w kąt i oświadczył, że właśnie mu się wyczerpało natchnienie i mój portret dokonamy jutro!

Zamiast dać sobie spokój z tym artystycznym megalomanem, mitomanem i tumanem w jednej osobie, to przylazłam do tej jego zafajdanej pracowni. Już czekał. Zaparzył jakąś stęchlą kawę plujkę. Znów mnie usadził w tym antycznym fotelu okrytym purpurą. I znowu fałsz dokoła, gapił się na mnie, coś tam gryzmolił tymi borsuczymi pędzlami różnej grubości. Kłął pod nosem. Wreszcie nie wytrzymał:

– Jesteś tak wyjątkową modelką, że nie dasz się traktować, jak zwyczajna piękna dziewczyna. Bo ty jesteś nadzwyczajna, godną wyjątkowego portretu! – wyrzucił z siebie.

– Walnijmy sobie po kielichu, to wtedy będzie mi łatwiej się skupić nad twoją niebanalną twarzą, a tobie przyjemniej czas upłynie w tym zabytkowym fotelu na którym siadali królowie! Ale ty też jesteś prawdziwą królową! Przynajmniej dla mnie!

Zza stojących pod ścianą niedokończonych dzieł, wyciągnął flachę jakiegoś złociстого płynu. Rolę kielichów pełniły dwie szklanki, które napełnił niemal do pełna. A ja, idiotka, jak gdyby to była szklanka soku pomarańczowego, wypiałam, razem z nim prawie duszkiem!

– No, teraz to nam, pójdzie! Na luzie! – obwieścił uroczyście, wciskając mnie – królową w królewski fotel.

Rzeczywiście, jeszcze bardziej się ożywił, mruczał coś pod nosem mieszając farby na tęczącej paletce, a mnie zaczęło się mieszać w głowie, choć błogi spokój mnie ogarnął, było mi dobrze, błądziłam myślami już nawet nie wiem gdzie i z kim, nie zapominając wszakże o „różanym uśmiechu”. Z kolorowych myśli wyrwał mnie jego głos:

– Widzisz jak dobrze? Zaraz mi lepiej idzie! Uchwyciłem twoje podobieństwo, ale by nie wymknęło mi się spod pędzla, to szklanka na drugą nóżkę – zaproponował, by procentowe siódme niebo obsypało go natchnieniem, a mnie anielskim spokojem, niezbędnym atrybutem modelki, którą teraz byłam już na 200%, dzięki, jak mnie poinformował, 70% trunkowi przywiezionemu z międzynarodowego pleneru z Afryki północno-południowej.

Już się nie musiałam starać, aby być tą w pełni profesjonalną modelką, bo czułam, że jestem. Tym bardziej, że wciąż się mną zachwycił. A ja nawet nim, bo z jednej palety zrobiły się dwie, z którymi, jak na skrzydłach wzlatywał w natchnienia, by świat oniemiał, gdy zobaczy mój portret. Ale on zobaczył we mnie nie tylko twarz, ale i resztę. Gdy nalewał trzeci kielich, to stwierdził z pełnym profesjonalizmem:

– Wiesz, dziewczyno, ty się nadajesz nie tylko na portret, ale i na akt! Że ja tego wcześniej nie zauważyłem.

Wypiliśmy z wolna, a raczej wysączyli już ósme niebo w płynie. Czas już dla mnie nie płynął. Ale za to ja pływałam. Już nawet nie pamiętam, jak zrzuciłam ciuszki i nagusieńka, jak Ewa w raju, położyłam się w tym fotelu. A on mnie malował, chyba w różnych pozach, bo mnie nieustannie poprawiał, układał, przekładał. Nie wiem jak długo to trwało, ale chyba długo... Nie wiem co się ze mną działo, ale się działo... Może to był dzień, może trzy noce... On nic nie jadł, choć jak przez mgłę słyszałam, że głodny i ma wilczy apetyt... A ja leżałam bez ruchu, chyba, że przychodził i mnie uruchamiał...

Powoli dochodziłam do siebie, choć zbyt daleko odeszłam... Płomień różanego uśmiechu zgasł, a ja płonęłam ze wstydu... Ubrałam, porozrzucane dookoła moje fatalaszki... Z bólem i z szumem w głowie podeszłam do sztalugi, na których z płótna spoglądała na mnie jakaś pokraka, ani do ludzi, ani do zwierząt niepodobna.

– To ma być to arcydzieło????!! – krzyknęłam oburzona i wytrącona z równowagi, choć trudność z równowagą miałam też jeszcze przez ten wredny trunek.

– Co się denerwujesz? Miłość ważniejsza od sztuki! Bo „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka pokłasku, nie unosi się pychą...” A ty jesteś boginią – wybełkotał skulony na tapczanie.

– Za to z ciebie zwyczajny chuj!!! – trzasnęłam drzwiami i wybiegłam wtapiając się w falujący tłum, który utulił mnie litościwie anonimową, szarą obojętnością...

■



Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?

(12)



Fot. Andrzej Dębkowski

Początki mojej przygody z twórczością Czesława Miłosza

Swoją przygodę z twórczością Czesława Miłosza, która w znacznym stopniu wpłynęła na moje życie, (jeśli mogę tak powiedzieć), podzieliłbym na trzy części. Będąc jeszcze w Pieszcach, pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku odkryłem Miłosza jako tłumacza poezji z języka angielskiego. Przede wszystkim zafascynowały mnie jego przekłady poezji Walta Whitmana i poezji amerykańskiej. Później, gdy poeta otrzymał Literacką Nagrodę Nobla w 1980 roku, nadszedł czas na jego poezję. Trzecia faza przypada na czas mojej emigracji, kiedy to amatorsko zająłem się fotografią, którą nigdy się nie interesowałem, ale zawsze chciałem mieć kilka zdjęć z „Wielkim Poetą”. Niestety, zdjęć zrobionych razem z poetą mam niewiele, gdyż większość naszych spotkań odbywała się prywatnie w jego domu. Są też zdjęcia autora *Roku Myśliwego*, zrobione moim tanim aparatem fotograficznym podczas spotkań poetyckich w Berkeley lub na terenie San Francisco Bay Area.

San Francisco, listopad 1984

Po raz pierwszy na własne oczy zobaczyć poetę Czesława Miłosza jesienią 1984 roku w San Francisco, w jednym z teatrów przy Haight Street blisko skrzyżowania z ulicą Van Ness. Było to spotkanie poetyckie organizowane przez Amnesty International w dowód solidarności z politycznymi więźniami, twórcami, intelektualistami mieszkającymi w Pakistanie. Wzięło w nim udział wiele sław

poetyckich, m.in. Josef Brodski.

Rosyjskiego poetę Josefa Brodskiego zapamiętałem z wielu względów. Z jego poezją zetknąłem się, czytając „Literaturę na Świecie”, będąc jeszcze w Pieszcach. Teraz po tylu latach miałem okazję zobaczyć poetę na własne oczy, podać mu rękę w korytarzu w czasie przerwy i podziękować za wspaniałą recytację wierszy. Brodski, jako jedyny z czytających, nie nalał sobie wody do szklanki, ale pił ją prosto z kryształowego dzbanka. Zachowywał się na pełnym luzie, nawet żartował z publicznością, a ta żywo reagowała na jego zabawne komentarze. Woda kapłała mu po brodzie, którą ocierał rękawem. Brodski nie czytał swoich wierszy, on je śpiewał po rosyjsku. Nie widziałem nigdy kogoś, kto by tak pięknie i melodyjnie interpretował swoje wiersze. Autor wiersza „24 grudnia 1971 roku” był ekspresyjny i nie do podrobienia! Poeta śpiewający swoje wiersze niczym natchniony anioł – jakie to rzadkie dzisiaj zjawisko.

Miłosz czytał poezję po angielsku bardzo sztywno, stwarzał wrażenie człowieka niezwykle poważnego, nawet człowieka, ale i on próbował swoimi mini komentarzami rozbaćwić, czy rozprężyć zebraną publiczność. Dopiero na końcu swojego wystąpienia przeczytał jeden z wierszy po polsku, na wyraźne życzenie publiczności, która wręcz domagała się usłyszenia ich w oryginale. Czytał pięknie melodyjnym głosem, akcentując polskie samogłoski, za co otrzymał rzesiste brawa od zgromadzonych. Po zakończeniu spotkania wraz z kilkoma rosyjskimi znajomymi podszedłem do niego, aby pogratulować i podziękować za piękną poezję. Przy okazji poeta podpisał mi swoją książkę pt. *Rodzinną Europę*, zamieniliśmy dosłownie kilka słów po polsku, nic więcej.

Miłosz uchodził wśród Amerykanów zaraz po otrzymaniu Nagrody Nobla i powstaniu Solidarności za symbol *freedom fighter* z jednej strony, a z drugiej strony za tłumacza Biblii (gdy to mówiłem Amerykanom, pytali się, co to znaczy tłumacz Biblii?). Jako poeta poza akademią wydziałów slawistyki i kilkoma redakcjami pism o profilu literackim w Ameryce i w Europie był prawie nieznan. A o międzynarodowej nagrodzie The Neustadt International Prize for Literature, którą otrzymał w 1978 roku w Ameryce mało kto słyszał, i jej popularność w porównaniu choćby z Nagrodą Pulitzera była / jest znikoma. Na spotkania autorskie naszego poetę nie przychodzili poeci amerykańscy znad Zatoki San Francisco, tak samo jak on nie chodził na spotkania, czy wieczory poetów amerykańskich. Nie było pomiędzy nimi ani serdeczności, ani zażyłości. Wiedzieli o swoim istnieniu, ale dla Miłosza byli lewakami, pseudo socjalistami, nawet anarchistami niż partnerami do rozmów. Oni Miłosza uważali za przybysza z innej planety, o której niewiele wiedzieli i chcieli wiedzieć. Wszystkie informacje o niej były im przekazywane poprzez filtry propagandy ZSRR. Miłosz patrzył na tych marksistów siódmej wody z dozą wyższości i z przekonaniem, że te ich „wygłupy” niewiele mają wspólnego z literaturą. Był wobec nich nieufny, wołał ich unikać niż się z nimi spotykać. W wolne chwile

wsiadał w samochód, brał rodzinę i „pru” setki mil czy to do Doliny Śmierci, czy do lasów drzew liczących sobie ponad dwa tysiące lat, czy wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Nie zapomniał ani na chwilę o swojej europejskości i porównywał góry, kaniony, skały, drzewa do europejskich kościołów, katedr i innych budowli. Swoje przemyślenia, doznania, spostrzeżenia wykorzystywał w twórczości, stąd też brał się podziw jego studentów, tłumaczy, którzy bardzo go sobie cenili, którzy uważali, że bycie studentem tego erudyty to wielki zaszczyt.

Polak religijny w Ameryce?

Miłosz poeta, tłumacz Pisma Świętego, czy „poetycki prorok”, swoimi wierszami „zapalił zielone światło” do przemian społecznych w Polsce. To dzięki niemu, Zbigniewowi Brzezińskiemu, Solidarności i papieżowi Janowi Pawłowi II Amerykanie dowiedzieli się, gdzie jest Polska, gdzie jej szukać na mapie. Polityk Brzeziński świetnie spisał się na polu polityki, Solidarność pokazała światu, że jest szansa na to, aby wolne związki zawodowe miały udział w decydowaniu o tym, co dzieje się w kraju. Papież – Polak, ten przekonał Amerykanów, że polski katolicyzm to nie tylko niedzielne poranne msze święte, po których rodacy idą na popołudniowy rosół do domów, a wieczorem „zalewają robaka”, aby zapomnieć o tym, że już w poniedziałek trzeba wstać o piątą rano do roboty. Polacy, będący największą grupą katolików w Ameryce, mieli, na setki polskich parafii, tylu biskupów, że można ich było policzyć na palcach jednej ręki. Polskimi duszami i wcale nie małymi ofiarami na kościół rządili biskupi pochodzenia irlandzkiego, niemieckiego, czy włoskiego. Ksiądz Polak co najwyżej mógł być proboszczem – łącznikiem pomiędzy masą analfabetów a księżętami kościoła. Polacy za własne pieniądze budowali kościoły, szkoły, plebanie, ale nieruchomości te nigdy nie były w polskich rękach, zarządzali nimi przeważnie Niemieccy biskupi. To biskup decydował, ile może być mszy w kościele, w których godzinach i w jakim języku. Odpowiedzią na takie traktowanie było powstanie na przełomie XIX i XX wieku Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Ameryce i Kanadzie. Byłem i jestem wielkim zwolennikiem tego kościoła. W Chicago przez wiele lat przyjaźniłem się z niezręcznym już księdzem Czesławem Janem Polakiem, którego bardzo wysoko sobie ceniłem. Ceniłem, bo chciałem, aby polski katolicyzm w Ameryce nie był tylko źródłem korzyści dla biskupów, ale naszą siłą duchową i patriotyzmu, i powodem do dumy, że jest się Polakiem.

cdn.



Nagrodzone i wyróżnione wiersze w konkursie „O Laur Adama”

I NAGRODA

Wioletta Szarwas

weki

babka chowała pieniądze
wieczorami siadała przy stole jej słaby wzrok
nie dosięgał cmy wtulonej w szybę kuchennego okna
święty z Padwy milczał gdy pochylając ciało
zaszywała po kilka banknotów w sakiewkach
pomiędzy podszewką a wierzchnim materiałem
swoich spódnic
jadła niewiele i równie mało mówiła
tylko czasami zapytana jak się czuje pocierała
palcami starcze plamy na dłoniach wzruszała ramionami
odkładając na kolana druty i niedokończony szalik
wspominała że obok studni
zabito żołnierza a północna ściana domu
jest podziurawiona od kul

przez całe lato robiła zapasy
jeszcze długo po jej śmierci znajdowaliśmy słoiki
z milionami sprzed denominacji

Furkotały skrzypiące okiennice, drzwi szerokie, jak
dębowe bary, biel prześcieradeł na napiętych
sznurach, tafle stawów grube od muszek i
puchu, jabłka na talerzu księżycy,
turlające się, niczym kule
bilardowe po krawędzi
wszechświata,

trach, bach: pękały sztachety w płotach, kiedy
one wybiegały z mokrą głową pamięci na
dwór, aż do wyschnięcia we włosach
pierzastych obłoków.

Potem w migotliwym trudzie uszu, nasłuchiwały:
parskania koni, rżenia, dalekich tętentów,
kotłujących się rzeniem ze śniegów
długich, mroźnych zim, rzeźbiących grzywy na oknach,

struchlałą laską zakreślały krąg, żeby dać kres
pustce i samotnej, tułaczkiej biedzie, która
w przeciągach wypalonych stepów
marszczyła duszę, aż po bliźnię na
czole,

WYRÓŻNIENIA

Grzegorz Chwieduk

...Niedziela pachnie rosołem...

Niedziela pachnie rosołem i czekaniem.
Czas siada ciężko na kanapie
jak krewny, którego nie da się ominąć.

Jestem synem od święta.
Zakładam lepszy głos, prostsze plecy,
pytam, czy pomóc – choć wiem,
że pomoc ma tu swoje granice.

Ojciec drzemie z pilotem w dłoni,
jakby pilnował świata przed zmianą.
Matka liczy kroki między kuchnią, a stołem,
żeby dzień się nie rozpadł.

Rozmowy są krótkie
jak reklamy między wiadomościami.
Ktoś wspomina kogoś, kto wyjechał,
ktoś milknie – i to wystarcza.

Jestem synem w pokoju z przeszłością.
Ściany znają mnie lepiej niż ja sam.
Plakat sprzed lat nie pyta,
dlaczego już nie wracam na czas.

Niedziela kończy się powoli
jak zdanie bez kropki.
Zabieram ze sobą ciszę,
wkładam ją do kieszeni kurtki.
Na cały tydzień.

II NAGRODA

Paweł Podlipniak

I jeśli jesień

I jeśli jesień, to wyłącznie taka
nad ciepłym morzem błyszczącym jak lustro,
z szelestem piasku na bezludnej plaży,
gdzie tylko cisza (bezwiedny parawan)
i resztki wiatru gaszą ślady stóp.

I jeśli jesień, to zupełnie własna,
z której nie musisz do domu powracać,
ani go szukać, wcale się domyślać,
czy świat smakuje niby magdalenka
czy jest to słodycz z przygryzionych ust.

III NAGRODA

Bogdan Nowicki

Wierność

Wszystkie kobiety tego domu najbardziej bały się kurzu.
Wycierały, aż do błękitnego blasku, wiszące ornamenty
starych fotografii: złoty, pruski kask dziadka, angielski
hełm ojca, struny gitary obieżyświata kuzyna –
wspomnienia z zagadką twarzy madonny,
gdzie między czernią, a bielą, rodziły się
kolory, przenosiły, niby wciąż głodne
pisklęta, od serca do języka.

Magdalena Cybulska

Podróż pociągiem

Krajobraz płynie za oknem pociągu. Horyzont rozciągnięta nitka. Bez końca.
 Czas. Raz go więcej, raz mniej. Drzewa chodzą własnymi ścieżkami, których
 nigdy nie poznam. Chmury przelewają się przez palce. Róż wypełnia przestrzeń.
 Cienie olbrzymich wiatraków są jak cienie dinozaurów. Może one też wyginą.
 Wypełniają nas tory i przyszłość. To, co należy jeszcze zrobić. Sarny zastygły na polu w
 bezruchu. Jakby nadjeżdżający pociąg nie robił na nich wrażenia.
 Pewnie, że przecina ich życie na pół. I to nie boli. Pusto. Tyle bowiem rzeczy miało nas
 wypełnić. Przy torach martwe ciało pokryte futrem. Nie wiem, co to było.
 Mogę sobie tylko wyobrazić jeszcze w nim iskierkę życia. Pewnie nie zauważyło
 nadciągającej wielkiej śmierci. Zajęte tylko sobą. Strachem, głodem, czy radością.
 Wielkie jasne oczy miały pochłonąć jutro. Wszystko się w nich zmieściło.

Maciej Płużek

Krynica

Ministerstwo samotności znajduje się
 W małych uzdrowiskowych tancbudach
 Pytasz mnie czy poeci dobrze tańczą
 Chodź tam ze mną w duszą lipcową noc
 Pokaże ci kamienie głodowe miłości
 Pokażę kobiety z bagien
 Mężczyzn wiecznych nomadów
 Dadzą Ci tysiąc dowodów na istnienie życia
 Wiecznego dadzą nawet swój dowód osobisty za
 Jeden taniec za jeden uśmiech jeden dotyk
 Który ogrzeje Im serca i kawalerki na najbliższe tysiąc lat
 Zobacz jak pięknie tańczą ostatnie tango w Krynicy

Ale póki co zbliża się północ, a Ty jak to Poetka
 Uciekasz bez pożegnania zostawiając
 Zamiast pantofelka serwetkę z wierszem o miłości
 I niedopałek serca w popielniczkę

WYRÓŻNIENIE SPECJALNE

Klaudia Piwowarczyk

modlitwa ewy

tak mi się chce adama
 z razowej mąki na swojskim zakwasie
 z dłońmi co dosolą i dopieprzą
 polewkę dnia
 dosmacza życie
 z ustami wilgotnymi
 by rozpiły wschodami i zachodami słońca
 studzienną wodą zapomnienia

adama ze stołem rozmownym
 z przytupem filcoka do tańca i różańca
 i strunowym sercem
 by grało na nerwach
 najczulszą z nut
 a noc
 wyśpiewało z prawdą

żadnego tam adasia przydasia w przykrótkich spodenkach

adama z siekierą
 daj Boże
 niech rąbie na wióra
 rozpala bez niebieskiej pomocy
 i dogrzewa krew
 adama dębowego
 którego nie złamię
 pierwszy lepszy wiatr
 takiego co nie zrzuci winy na kobietę
 za zjedzone jabłko
 przyjmie na klatę
 i przytuli łzę

chłopa mi trza
 u którego tak to tak a nie- też tak
 co proszę przepraszam dziękuję
 i kurwa mać w słowniku
 adama z zaimkiem męskim on
 żadne nijakie ono ino bijące pianę z byle gówna

rasowego kundla dajże
 któremu nie wadzi
 jaskółcze gniazdo pod oknem
 i kret w trawniku
 a ego nie zwisa
 jak rzep na ogonie

takiego mi ulep mężczyznę
 Tatku mój
 nie czekaj dnia szóstego
 boś wtedy zmordowany światem
 i wychodzą Ci te adamy
 nieporadne całkiem
 spękane dumą
 bez rdzenia
 bez klepki
 i bez amen



Rys. © Sławomir Łuczyński

Andrzej Gnarowski

Poeta „ze specjalną dolegliwością” ...

*Jest u nas dom stary niepodpalony
nie trafiony pociskiem.*

Henryk Gała

Stary dom, przez który przeszły „wszystkie strony świata” pozostaje zawsze gdzieś daleko. Odległe wspomnienia z dzieciństwa przeplatają się z marzeniami o powrocie w rodzinne strony. Fragment wiersza pochodzi z tomu „Stary dom” **Marka Wawrzkiwicza** – Wydawnictwo Adam Marszałek – Toruń 2025:

*Jedna samotna gwiazda ponad domem świeci.
To, co się tu stało, zwietrzało i przeszło
A piąty kąt pokoju ktoś wierszem zaśmiecił.*

Na okładce czytamy! „Dom z wierszy – taki tytuł nosi jedna z ostatnich książek Romana Śliwonika (...) każdy poeta buduje wierszami swój dom (jak również pokój zaśmieca wierszami) najbardziej własny i suwerenny. Śliwonik który napisał: „mam do poezji stosunek bardzo emocjonalny i sądzę, że poeta to człowiek urodzony ze specjalną dolegliwością”. Dolegliwość to również choroba duszy. Dusza poety jest amorficzna, mieści w sobie wierność i zdradę, podstęp i niewinność, kokietery i skromność. To właśnie dusza ujawnia wrażliwość poety na krajobraz i stanowi źródło fascynacji pięknem świata.

Pomówmy o wyobraźni poety Marka Wawrzkiwicza – która jest potencjalną siłą ducha (siłą wyobraźni jest poezja). Nie znajdujemy tam określeń, że ona sama jest uniwersalnym środkiem porozumienia i że jest systemem obiegu krwi. Każdy poeta stara się odkryć rodzaj materii, który poruszył właśnie wyobraźnię i nadał jej odpowiedni kierunek. Goethe mówił, że podstawą opowiadania czy też wiersza musi być zawsze „niezwykłe zdarzenie, które naprawdę miało miejsce”. Stosunek słowa poetyckiego musi przystawać do rzeczy o której traktuje. Poeta wprowadza do swoich utworów – i nadaje wysoką rangę tematyce życia codziennego – a jednocześnie potrafi ukazać sugestywnie całą poezję otaczającą nas rzeczywistość. Nastrój podporządkowuje sobie wszystkie elementy np. wczesnojesienny pejzaż, samotność – czy też żal minionego lata. Kiedy to „W pień wycięto lipy, / które dom ocieniały z zielonej przeszłości”.

Jakże głęboki jest i szczerzy autor „Starego domu” – „ślady tego tematu możemy odnaleźć w twórczości innych, poetów”. Np. poeta z Drozdowa Henryk Gała budował „teatr z wierszy” i twierdził, że jest u nas dom stary niepodpalony i nie trafiony pociskiem. I, że „W ciemności głębi / zapelniającego nasze głowy / domy, światy, w których nie możemy / dostrzec siebie”. Słyszalny głos jakby przez szum dalekiego morza – głos

poezji do spraw przeżytych, sprawdzonych osobistym doświadczeniem – poprzez soczystość języka i bogactwo wizji poetyckich (spłoty realistycznych morałów z metafizyczną intuicją). Poezja z warsztatowego mistrzostwa – czyżby ostatni „co tak poloneza wodzi”.

Marek Wawrzkiwicz zawsze przywiązywał wielką wagę do międzyludzkich więzów, a więc do spraw wokół których przede wszystkim rozgrywała się w jego wcześniejszej twórczości dialektyka ludzkiego życia. Poetę fascynuje zjawisko języka – jego podstawowej funkcji poznawczej, której daje wyraz w swojej poezji.

Autor „Starego domu” przekonał nas czytelników, że literaturze nie wystarczą same konstrukcje słowne – że trzeba subiektywnego widzenia świata, które ogarnia dużo więcej spraw dla czytelnika w miarę ważnych i atrakcyjnych – jest to odwołanie się do uwarunkowań kształtujących świadomość, psychikę i ludzki los. Bardzo trafną charakterystykę twórczości poety przeprowadza w swej wnikliwej recenzji Andrzej Walter („GK”, styczeń 2026). „Zaśmianie wierszem”. „Gdzie w nas ta Wawrzkiwiczowska przenikliwość, cała ta jaskrawość, ta mądrość i ta rozważa, ta umiejętność ujęcia w niedopowiedzeniu, w niedosłowności i ta najważniejszych lotów sztuka pisania raz rymem raz bez rymu, a jakoś tak... zawsze na temat”.

I tak oto – ciągle młody duchem poeta „postawił nam oto... stary dom”, który nie boi się starości i uważa, że może przynieść ze sobą dużo możliwości i spokoju – wypowiedzenia przemyśleń z całego długiego życia (że wygrywa z czasem). Porusza tak naprawdę jeden kamyk „aż tu nagle lawina”. Czas trwa wokół niego – a on tkwi w czasie „przemija gloria świata, jak przemija każda gloria”.

*Ta chwila nic o sobie wiedzieć nie pozwoli
Jak nas najdzie i kiedy Z jakiego ukrycia
I nieprawda co mówią że ona tak boli
Przecież to nie śmierć jeszcze ale resztką życia*

(„Odloty”)

„Utwór o wyrażnie mistycznym (...) uroku, który można uznać za poetycką apoteozę drogi wewnętrznej”. Jest w zasadzie także wymiarem – kryterium każdego istnienia poezją, według którego powinno się to istnienie osądzać.

Wiersze ze „Starego domu” pochodzą z lat 1958-2023 – to ciągle żywiołowa liryka, ale mająca wewnętrzne rygory zmusza nas do rewizji pojęć poetyckich i zarazem do podważania utartych schematów. Nawet poeta nowoczesny zdaje sobie sprawę, że współczesność jest i być musi kontynuacją

tradycji (zwłaszcza liryka, która odegrała wielką rolę w życiu poety M. Wawrzkiwicza). „I czułem, czułem w sobie twój szepc i twój uśmiech / Chwiał się pod oddechami niepodległy płomyk (...) Kochałem cię, kochałem. A z płaskiej ciemności, / Jak gdyby blask niebieski ktoś na ziarna drobił”.

Tacy poeci jak Wawrzkiwicz znajdują ekwiwalent słowny dla intelektu i uczucia – a nie stwarzają świata „od początku rzeczy”. Tacy poeci podają motywy pozwalające zmierzyć się z własnym losem za pomocą słowa powołanego do wiersza. Bo „w gruncie rzeczy jest to jednak poezja tak zwanej wielkiej miłości: żarliwej, nie uznającej kompromisów”. Może dlatego wiersze Wawrzkiwicza nie starzeją się (to nic, że zmieniają się w poezji gusty, tendencje, kierunki i pojawiają się nowe zjawiska). Oddajmy głos amerykańskiemu poecie E. Cummingsowi: „Te wiersze są dla ciebie i dla mnie, a nie dla większości ludzi (uczynił je ktoś, kto potrafi kochać i wiecznie będzie się odradzał)”. I my mamy kogoś – o kim warto pamiętać. Mam na myśli poetkę z Częstochowy Halinę Poświatowską: „czasem przychodzi ostra / świadomość konieczności / rozkruszonej ziemi (...) śródgwiezdne podróże nie dla nich / posłuszne prawu ciężenia / spadają spadają” (z tomu „Oda do rąk”).

Poeta z pełnym przekonaniem wie, że trzeba żyć pełnią życia – i tworzyć, pamiętając (skąd bierze się świadomość o śmiertelnym niebezpieczeństwie) które zmusza nas do pesymistycznych konkluzji!

Nim nas jeszcze na strzepy rozerwie

powietrze

*I rozdziobią nas dziwne światłokrzydłe ptaki
To popłyniemy w szklistym niegasnącym*

wietrze

Do swojego Betlejem do swojej Itaki

(„Chrystus miejski”)

Poeta nie wykląda tu żadnych poglądów filozoficznych czy też społecznych. On opowiada o ludziach o zdarzeniach w których pełno jest paradoksów, przypadkowych refleksji, ironicznych uwag – co sprowadza się do stwierdzenia, że rzeczy, sprawy i ludzie posiadają dwie natury: zewnętrzną, sprawdzalną i tę drugą ukrytą (niesprecyzowaną), ale najważniejszą. W tej rzeczywistości umiejscawia kanon swojej poezji, która jest świadectwem trudnych związków realizujących się w naszej rzeczywistości.

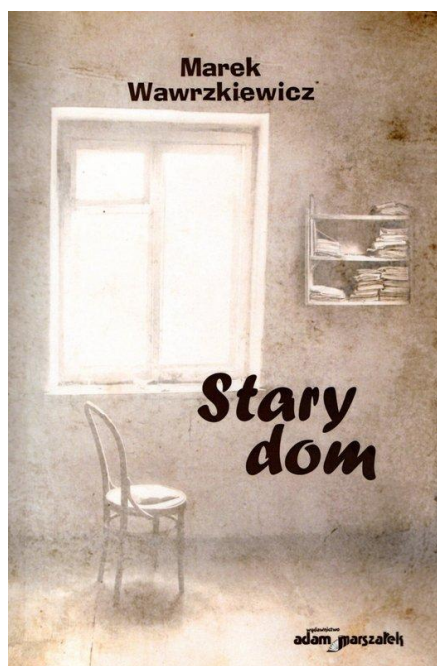
Pewien krytyk utyskiwał na libertyńskie skłonności naszej epoki. Na pryzmat ciała nad sercem i duszą – jak wiemy w miłości jak w życiu jest czas fizyki i metafizyki. Liryka autora „Starego domu” nie obejmuje świata w całości – zatrzymuje się jedynie nad zjawiskami ulotnymi, drobinami bytu:

*Dopilnuj, by nikt obcy do domu nie przyszedł.
Niech będą ciepłe usta twoje i ramiona.
Zasłoń okna, zgaś radio i wsłuchaj się w ciszę,
By nikt – oprócz nas dwojga – nic nie wiedział
o nas.*

(„Banalny wierszyk”)

Istnieje coś większego od wszystkich innych ziemskich spraw, co powoduje, że możemy zachować ludzką tożsamość z poczuciem przemijania, pościgiem za utraconym czasem czy świadomością nieuniknionego kresu. W tej poezji – to wszystko przecież takie naturalne. Żywioł języka ujęty jest w karby logiczne zadumy nad odwieczną egzystencją człowieka opanowany i posłuszny artyście ze specjalną dolegliwością...

Andrzej Gnarowski



Marek Wawrzkiwicz, *Stary dom*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Korekta: Paweł Jaroniak. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Foto na okładce: Maria Kuczara. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2025, s. 72.



Andrzej Gnarowski

Osip Mandelsztam w ogrodzie Jarosława M. Rymkiewicza nie zwracając niczyjej wagi wyglądał jak wykuty z kamienia

*Nie ma nawet Nadzieży
na próżno jej szuka*

J.M.R.

W mieście W. samoświat znieczulony przedmieściem
(jakby wyjęty z martwego krajobrazu z ulic gruzowiska)
W kamienicy zabytkowej secesyjnej ujrzał światło dzienne
A był to miesiąc w którym spała się najwięcej gwiazd
Na parapetach okien wędły kwiaty amaralisu. W opadłych
Tynkach dojrzała wilgoć. Na kłatkach schodowych
„swąd spowijał do dzisiaj ranę pamięci”
Wpół rozwartych dłoniach zrównały się szale wagi

Ożywał na chwilę petersburski mrok zabłyśły czyjeś
Modre oczy. Ale najpiękniejsze są te białe noce
Gdzie śniegi płoną w delcie Newy nad Zatoką Fińską

Nikołaj Fiodorow w ciszy zaklinał powietrze ogień i wodę
A tymczasem poeta szył buty ptakom i sprzedawał je w chińskiej
Dzielnicy Francuskiej Indochin (podśpiewywał ciekawym głosem)
Jak w ogrodzie Jarosława M. Rymkiewicza w Milanówku. Gwiazdy
Rozpinał na kopule nieba (o czyściec prosił nie o bramy raj)
„Kim jestem? Przecież nie murarzem. Ani ja blacharz, ani
wioślarz” prosił nazwijcie mnie poetą z Bożej Łaski
Napiętnowanego jak pielgrzym z złotym ryngrafem
Siedzącego na rustykalnym fotelu

Widziano go jak wracał z fin-de-siecle’owego balu
Przez park Montsouris. Nadzieży nie było (na próżno jej szukał)
A w Woroneżu ulice były mokre. Wiatr strącał wodę z liści
wyglądało to na zasiew przyszłych deszczów
„Nawet zamokły dziury w płocie”

Poeta jak „Niepotrzebny truteń” zapowiadał Heruba
„Trojankach”. W słupach dźwięku krągłości ud świętości
Kobiecego łona. To czas naznaczony śniedzią cyferbłatów
W parku Montsuris grali concerti grossi Hendla
Pachniały w zaroślach cylindryczne krzewy
Poeta pogrążył się w milczeniu jakby chciał odczytać
Tajemnicze hieroglify niebieskich wyroków
(może rozmawiał z umarłymi)
Szara wata chmur skrywała migotliwy gwiezdny pył

Czułkami świata były oczy Nadzieży
„oczy z Betlejem, oczy z Golgoty”
Kiedy tak stała przed nim cicha i pokorna w oczach
Migotały przelotne ostre błyski jak pastelowe motyle
Całe jej ciało było z łaski słońca i powietrza

Na kamień w parku Montsouris jak z podskórnej
Ciemni padał pomnikowy cień. W smukłych gałązkach
Palców Osipa E. Mandelsztama zatrzymał się czas

Eugeniusz Kurzawa

Bardzo intrygująca książka

Tytułowa zapowiedź to żaden chwyt reklamowy. Książka **prof. Wojciecha Kajtocha** z Krakowa jest naprawdę inna niż znane dzieła krytyczne i literaturoznawcze ukazujące się obecnie w księgarniach czy internecie. Jej tytuł: „Ze starego segregatora. Szkice i eseje z lat 1976-1989” coś zapowiada, ale nie wyjaśnia do końca, więc od razu tłumaczę, w czym tkwi niezwykłość pracy. Obszerna publikacja (359 stron) przedstawia wczesne teksty autorstwa późniejszego podwójnego profesora literaturoznawstwa i językoznawstwa oraz prasoznawcy z zaznaczonymi ingerencjami cenzury nie tylko oficjalnej, ale i redakcyjnej. Czy znacie, Drodzy Czytelnicy, podobne publikacje wydane w ostatnich latach? Oczywiście dawne cięcia cenzorskie zaznaczone w książce nie są obecnie żadną sensacją i nie powinny skupiać wyłącznej uwagi odbiorcy. Istota sprawy leży bowiem w systemie przemysłu dawnego współpracownika „Studenta”, „Życia Literackiego”, poety, filologa i rusycysty. Dlatego warto w pełni przyswoić sobie publikację wydawnictwa „Areus”, a nie tylko koncentrować się na fragmentach ongiś wyciętych, a dziś zaznaczonych w tejsze pracy kursywą. Nie przytaczam zresztą żadnych przykładów, gdyż nie ma się już czym ekscytować (dodając informację, iż są to niekiedy obszerne akapity, a nie jakieś szczególne wyrazy, nazwiska, tytuły). Idzie zatem o zrozumienie mechanizmów, o które omawia W. Kajtoch.

Autor książki okazał się na tyle uparty i konsekwentny w swych młodzieńczych poglądach na literaturę, że postanowił w XXI wieku wrócić do materiałów zachowanych w „starym segregatorze” i zademonstrować przy okazji, jak w latach określonych w tytule działała realna cenzura, nie tylko państwowa, lecz także środowiskowa. Nie mamy zatem aktualnie modnego (i koniunkturalnego) uderzenia w dawny urząd cenzorski, czyli Główny Urząd Kontroli Publikacji Prasy i Widowisk, ale pokazanie mechanizmów społecznych – krakowskich, warszawskich i innych – funkcjonujących w końcowym okresie PRL, a także obnażenie układów towarzyskich, zależności politycznych i rozmaitych animozji środowiskowych wśród osób kierujących teksty lub książki do druku. Pokazana jest również słabość systemu socjalistycznego – a to już dziś zagadnienie historyczne – który nie potrafił, a nawet nie chciał walczyć o ów socjalizm.

Wojciech Kajtoch był od początku swojej literaturoznawczej kariery bardzo skrupulatny: gromadził odrzucone i pokancerowane teksty, archiwizował to, co mu gdzieś odpowiedziałni za druk kwestionowali, oraz zachowywał swoje i ich listy „w tym temacie”. Dzięki temu mógł po latach otworzyć ów tytułowy „stary segregator”, wyciągnąć zeń szereg dawnych szkiców i pokazać, „jak to działało”.

Po lekturze książki sędzę, iż autor – prezentując swe niedysiejsze opinie, pokazując miejscami ingerencje panów redaktorów – ma prawo obecnie powiedzieć: a nie mówiłem?!

Już jako młody krytyk – krakowski uczeń i student filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego – miał W. Kajtoch wykrystalizowane poglądy i zachował je do tej pory. Można tak mniemać po latach, choćby na podstawie innych jego książek, np. wywiadu rzeki z Jadwigą Mizińską „Zdążyć z prawdą...”. Pozostał wierny sobie. Rzec można, iż oscylują one wokół ideologii lewicowej i racjonalizmu, walki o prawdę nawet za cenę kłopotów życiowych. I to jest obiektywnie „dziwne i zaskakujące”, gdyż wielu jego kolegów ze środowiska naukowego i literackiego zdecydowało się wobec zmian politycznych lat 80., 90. i następnych „delikatnie” skorygować „kurs swojej kariery”. Kajtoch natomiast pozostał przy przekonaniach, które kształtowały go już w czasach licealnych, a potem studenckich. Nie ułatwiało mu to życia. Omawiana praca jest przykładem. Wtrąć, iż czyta się ją dobrze, a nawet z przejęciem, gdyż autor cytuje nie tylko dawne recenzje i omówienia, ale dzięki wkładanym między nie listom oraz obszernym przypisom współczesnym uwidocznia kontekst tamtych lat, uwikłania redakcji, redaktorów, ich grę z autorem oraz nieporadną politykę kulturalną państwa.

Składający się z kilku rozdziałów „Stary segregator” chronologicznie pokazuje recenzencko-krytyczną ścieżkę kariery przyszłego profesora. Zaczynał od współpracy z krakowskim tygodnikiem „Student”, popularnym wówczas wśród – tak to określmy – warstw wyższych ówczesnego studentstwa. Mamy późne lata 70. Kajtoch recenzuje prozę Władysława Terleckiego. Analiza dzieła wydaje się nad wyraz dojrzała, kolejne owoce współpracy ze „Studentem” są na równie na wysokim poziomie. Następny etap w karierze młodego polonisty to współpraca z krakowskim tygodnikiem „Życie Literackie”. „Oczywiście »Życie...« kroilo moje teksty, zdarzyło się, że Władysław Machejek prosił o dopisanie czegoś – ale tekst zamówiony i napisany był z reguły drukowany” – podaje W. Kajtoch. Jednym z nich była recenzja pozycji Jerzego Stefana Stawińskiego pt. „13 dni z życia emeryta. Dziennik Adama Bzowskiego”. W niej znajduję przekorny i celny prywatny „Alfabet Kajtocha”, świadectwo jego trwałej postawy. Przykład: „Inteligencja polska – jedyni nosiciele prawdy” – ironizuje autor. Tekst nie został w 1982 r. przyjęty do druku. W „Życiu Literackim” W. Kajtoch rozpoczyna także swoją przygodę z twórczością Stanisława Lema i w ogóle z fantastyką. Nie mam tu miejsca na rozwijanie wątku lemowskiego, ale na jeden cytat (zresztą z przypisu) sobie pozwolę: „Obłok Magellana» z 1955 roku. (»Astronauki« w

stopniu mniejszym) jest w skali międzynarodowej prekursorską zapowiedzią gatunku marksistowskiej utopii”.

Skoro mówimy o fantastyce, należy zaznaczyć, iż W. Kajtoch po latach stanie się najważniejszym z polskich komentatorów książek słynnych Rosjan – braci Arkadija i Borysa Strugackich. Żeby ich poznać i przygotować pracę o nich, wybrał się w latach 80. na roczne studia do Moskwy. W Rosji miał okazję spotkać się z jednym z braci i rozmawiać. Dalej W. Kajtoch omawia szeroko twórczość m.in. Teodora Parnickiego, Leopolda Buczkowskiego i S. Lema. Skomentuję to cytatem, który częściowo pomógł mi po latach wydobyć się z części kompleksów wynikających z niemożności rozgryzienia dużych fragmentów spuścizny tychże pisarzy. Po wielu upartych lekturach – np. „Tylko Beatrycze” Parnickiego, filozoficznych rozpraw Lema i niemal całej twórczości Buczkowskiego – poczułem się nieco lepiej, znajdując w druku sformułowanie o „»odejściu« wybitnych twórców w »swoją rzeczywistość«”. Tak ich oceniał W. Kajtoch.

Następnym etapem życiowym krytyka była współpraca z krakowskim „Pismem Artystyczno-Literackim”. Z tego okresu pochodzi ważkie, zamieszczone w „Segregatorze”, omówienie twórczości prof. Kazimierza Wyki z dziełem „Życie na niby. Pamiętnik po klęsce” na czele. Kilkadziesiąt stron dalej widzimy ciekawe zestawienie poglądów K. Wyki i Jana Kotta. Warto się w to wgryźć, bo praca Wyki jest naprawdę istotna, tyle tylko mogę zaznaczyć, choć podejrzewam, iż niewiele osób się na tę lekturę (Wyki i Kajtocha) zdecyduje. Podobnie jak zapewne mało kto zainteresuje się sprawozdaniem z sesji naukowej, która odbyła się w 1983 r. na UJ. Przeczytamy – co właściwie charakterystyczne dla zbioru „Ze starego segregatora” – dwie wersje tejsze relacji, ponieważ pierwsza nie została przez redakcję wydrukowana. Przytaczam z niej cytat pochodzący ze współczesnego przypisu Kajtocha, który pokazuje odmienną swego myślenia wobec trendów obowiązujących w tzw. głównym nurcie wielu środowisk (zwykle był to nurt prokościelny i/lub opozycyjny wobec władz państwowych): „Słuchając obrad sesji, zobaczyłem, jak naukowcy z polonistyki UJ, moje dotychczasowe autorytety, potrafią pleść duby smalone, żeby tylko »komunie dokopać«, głosząc różne »herezje«, nie zwracając sobie głowy ich udowadnianiem. Dla młodego człowieka, uznającego najwyższy autorytet nauki, było to ciężkie przeżycie”. W. Kajtoch wymienia nazwiska profesorów, tytuły referatów, omawia je, można zatem dowiedzieć się, o kim mowa.

Po pracy dla „PL-A” była jeszcze próba powrotu do „Studenta”, wspomniana już wyprawa stypendialna do Moskwy, krótka współ-

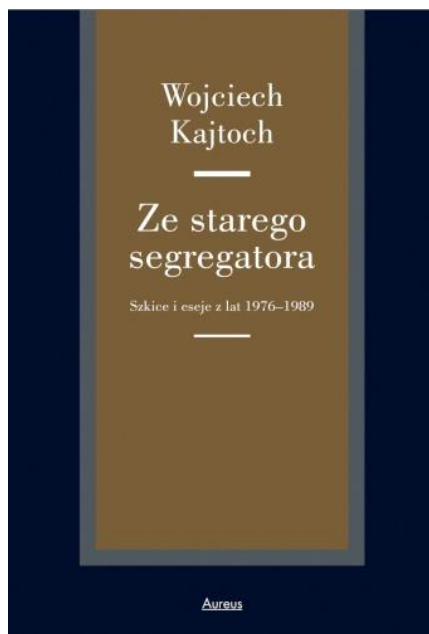
praca „Argumentami” i „Tu i Teraz”, omówienie tzw. rewolucji w polskiej młodej prozie (Siejak, Anderman, Sołtysik, Drzeżdżon). W profesorskiej książce znajdziemy, poza tekstami drukowanymi w latach 1976-1989, aż 14 takich, których wtedy nie opublikowano, niektóre mamy więc okazję poznać je po raz pierwszy. Czytałem z uwagą, oczywiście różną, w zależności od stopnia zainteresowania recenzowaną pozycją, jej autorem lub tematyką. Ubawiła mnie wręcz odpowiedź prof. Kajtocha na „Ankieta Andrzeja Śnioszka” pytającego o modernizm i postmodernizm w literaturze XX wieku: „Dla mnie »modernizm« to nurt artystyczny i literacki rozwijający się w okresie »Młodej Polski«, czyli mniej więcej w latach 1890-1918, a postmodernizm to sztucznie zaimplementowana z Zachodu moda niemająca zbyt dużej wartości”. Dziś modnie jest mówić – ni z gruchy ni z pietruchy – o modernizmie w każdej nieomal dziedzinie twórczości, w architekturze etc. Nie wiem, skąd się to bierze. Pamiętam za to ze szkoły średniej, iż modernizm był właśnie tym, co określał W. Kajtoch. Jaka to radość, że ktoś jeszcze w tym kraju myśli podobnie...

Sumując: dostrzegłem wiele problemów i poglądów wspólnych, łączących mnie z krakowskim twórcą, jak choćby kwestia tzw. komunizmu, którego wszak nie było w Polsce Ludowej, myślenia o ówczesnej opozycji i jej wydawnictwach literackich (są w książce ciekawe akapity dotyczące finansowania druków podziemnych, sponsorowanych przez „mecenat »dolarowo-kościelny«” i tych „nadziemnych”), a także refleksje na temat postaw postaci świata nauki i sztuki. W. Kajtoch w latach 80. nawiązywał jeszcze o socjalizm w krytyce literackiej, zatem myśli i pisze w tym duchu, co – zaskakująco – spotyka się „ze swoistą cenzurą redakcyjną, która (...) z pietyzmem usuwa »zbyt propanistwowe« fragmenty”. W tekście dla „Argumentów” z listopada 1986 roku pt. „O polityce, krytyce i pieniądzach” formułuje zdanie, jak się okazało prorocze, „W niedalekiej przyszłości w ogóle może zabraknąć krytyków marksistowskich”. A przecież tzw. środowisku właśnie o to chodziło...

Prof. Wojciech Kajtoch w „Poślowiu po latach” tak komentuje odrzucanie jego tekstów, skracanie ich czy przerabianie: „Wykazałem się kiedyś wielką naiwnością, sądząc, że mam prawo do własnego głosu, że jak wejść między wrony, to nie będę musiał krakać jak one. W rezultacie pozostałem samotny, bo śpiewu w chórze wciąż nie mogę się nauczyć...”. I dalej ciągnie: „Domagałem się szczerości, walki z otwartą przyłbicą, udowadniania swych stwierdzeń, unikania idiotycznej irracjonalnej propagandy, zachęcając do samodzielności w myśleniu i naukowej uczciwości”. Mowa tu o latach 80. XX wieku, okresie walk politycznych na wielu frontach, a więc również w literaturze i nauce. W rezultacie przyszły naukowiec, siedząc okrakiem na barykadzie, narażał się obu stronom konfliktu, „swoim” i „tamtym”. „A ja po prostu chciałem być krytykiem literackim oraz polonistą” – stwierdza współcześnie. To się ongiś nie udało. Ale per saldo jednak „wyszło na moje”, może chyba dzisiaj ocenić profesor W. Kajtoch. Dlatego nie bez złośliwości puentuje: „A książkę tę chciałbym zadedykować

wszystkim tym, którzy w latach osiemdziesiątych trzęśli krakowską, ujętowską polonistyką i literackim środowiskiem, tudzież tym, co pod koniec dekady objęli władzę w IBL-u. Jeśli jeszcze nie umarli, mam dla nich przykrą nowinę” »Żyję i wciąż tworzę. Nie wyszło, misiaczki, nie wyszło.«.

Eugeniusz Kurzawa



Wojciech Kajtoch, „Ze starego segregatora. Szkice i eseje z lat 1976-1989”. Wydawnictwo „Areus”, Kraków 2026.

Światło, które pamięta

Światło nigdy nie jest tylko światłem. Przychodzi z daleka – nie tyle z nieba, ile z czasu. Niesie w sobie pamięć rzeczy, których już nie ma, i dotyka ich jeszcze raz, jakby chciało upewnić się, że naprawdę zniknęły. Nie ma w nim pośpiechu, choć nieustannie się porusza. Jest cierpliwe, jakby wiedziało, że wszystko, co napotyka, i tak ostatecznie do niego powróci – w formie wspomnienia, odbicia, cienia.

Rankiem jest jeszcze niepewne. Wślizguje się między firany, przeciska przez szyby, rozlewa ciekłą warstwą po podłodze. Nie narzuca się. Raczej pyta niż stwierdza. W tej godzinie rzeczy są jeszcze półobecne – zawieszono między snem a rzeczywistością. Stół nie jest do końca stołem, a ściana nie oddziela jeszcze w pełni jednego świata od drugiego. Światło pomaga im się wydarzyć. W południe nabiera pewności. Ostrzej rysuje krawędzie, wyciąga szczegóły, których wcześniej nie było widać. Nie pozwala się ukryć. Każda rysa, każdy ślad użycia, każda nierówność wychodzi na

powierzchnię. To światło bez złudzeń – takie, które nie upiększa, lecz odsłania. A jednak nawet wtedy pozostaje czymś więcej niż tylko narzędziem widzenia. Jest formą pamięci, która nie ocenia. Najbardziej jednak przemawia wieczorem. Gdy opada, staje się cięższe, gęstsze, jakby niosło w sobie cały dzień. Barwy tracą ostrość, kontury się rozmywają, a rzeczy zaczynają wracać do siebie – do swojego milczenia. Wtedy światło nie tyle pokazuje, co żegna. Każdy przedmiot otrzymuje ostatnie spojrzenie, ostatni dotyk. I choć nic nie zostaje zatrzymane, wszystko wydaje się na moment pełniejsze.

Na ścianie domu, który pamięta więcej niż jego mieszkańcy, światło zatrzymuje się szczególnie długo. Wnika w pęknięcia tynku, przesuwa się po starych fotografiach, dotyka ram okiennych, które były otwierane setki razy – zawsze w innym czasie, zawsze przez inne ręce. Ten dom nie jest tylko miejscem. Jest zapisem. Warstwą nałożoną na warstwę, historią, której nie da się już odczytać w całości. A światło próbuje – cierpliwie, bez słów – odtworzyć choć fragment tej utraconej ciągłości. Człowiek w tym wszystkim jest obecny, ale jakby obok. Patrzy, lecz widzi za mało. Przyzwyczaił się do światła tak bardzo, że przestał je zauważać. Stało się oczywiste, a przez to niewidzialne. Tymczasem ono nieustannie coś mówi – językiem cieni, odbici i drżących konturów. Mówi o przemijaniu, lecz nie z rozpaczą. Raczej z cichą zgodą, jaką mają rzeczy, które wiedzą, że ich istnienie jest chwilowe, a mimo to wystarczające.

Może właśnie dlatego sztuka próbowała światło zatrzymać. W obrazach dawnych mistrzów nie było ono dodatkkiem – było istotą. Przenikało sceny, budowało napięcie, nadawało znaczenie temu, co pozornie zwyczajne. Wystarczyło jedno rozjaśnione miejsce, by cała kompozycja zaczęła oddychać. Światło nie służyło przedmiotom – to przedmioty służyły jemu. A jednak nawet tam nie dawało się uchwycić do końca. Zawsze zostawało coś poza płótnem, coś niedopowiedzianego. Jakby jego prawdziwa natura wymykała się każdej próbie zatrzymania. Może dlatego najbardziej autentyczne pozostaje w ruchu – tam, gdzie nie można go powtórzyć ani odtworzyć. Na wodzie, która nigdy nie jest taka sama. W szybie, która odbija nie tylko obraz, ale i jego przekształcenie. W liściu, który drży, choć powietrze wydaje się nieruchome.

W takich chwilach światło nie jest już czymś, co się widzi. Staje się czymś, co się przeżywa. Przestaje być zewnętrzne. Przechodzi przez człowieka, zostawiając ślad, którego nie da się nazwać, ale który pozostaje – czasem na długo, czasem tylko na moment.

Pamięć działa podobnie. Nie przechowuje rzeczy w ich pierwotnej formie. Przekształca je, rozmywa, wybiera fragmenty, pomija inne. Tworzy własne obrazy, które są jednocześnie prawdziwe i nieprawdziwe. Światło jest jak pamięć – nie wierne, lecz znaczące. Nie odtwarza świata, ale nadaje mu sens. Dlatego niektóre chwile zostają w nas na zawsze, choć nie potrafimy powiedzieć, dlaczego. Może to kwestia światła, które wtedy było inne – bardziej skupione, bardziej obecne.

(Dokończenie na stronie 12)

Światło, które pamięta

(Dokończenie ze strony 11)

Może to ono zdecydowało, że ta jedna scena nie rozplynie się w czasie jak tysiące innych. Człowiek próbuje zatrzymać takie momenty. Fotografuje, zapisuje, opowiada. Ale każda próba jest tylko przybliżeniem. Obraz pozostaje obrazem, słowo – słowem. A światło już dawno poszło dalej. Nie czeka. Nie powtarza się. Jego jedyną stałością jest zmiana. A jednak nie ma w tym utraty, która byłaby ostateczna. Bo choć konkretne światło znika, samo zjawisko trwa. Każdy dzień przynosi nowe, inne, niepowtarzalne. Każdy poranek zaczyna od początku coś, co nigdy nie będzie dokładnie takie samo, ale zawsze będzie miało w sobie ten sam sens – wydobywania świata z ciemności.

Może właśnie w tym tkwi jego cicha obietnica. Nie w tym, że coś pozostanie, ale w tym, że coś się pojawi. Że mimo przemijania, mimo nieuchronnej utraty, wciąż istnieje możliwość zobaczenia na nowo. Nie tego samego – lecz wystarczającego. I może dlatego warto patrzeć uważniej. Nie po to, by zatrzymać, ale by uczestniczyć. Nie po to, by zrozumieć wszystko, ale by nie przeoczyć tego, co wydarza się tylko raz. Światło niczego nie zatrzymuje. Ale wszystko na chwilę ocala.

Stefan Michał Żarów

Jubileusz Artysty 75-lecie Janka Tulika

Przychodzi taki dzień jak dziś, kiedy Poeta świętuje swoje urodziny. Piękne urodziny, wyjątkowe (których młody człowiek nie jest sobie w stanie przeczuć, bo dla niego często już 50-latek stanowi człowieka z innej epoki). To radość, że przez tyle lat dane nam było gościć na ziemi Podkarpacia tak znakomitego i wszechstronnego twórcę. Rodzi ona pytanie, czy potrafiliśmy zidentyfikować ten niesamowity fenomen pisarza, poety, dramaturga, eseisty?

Czy nie traciliśmy czasu, zajmując się mniej ważnymi zjawiskami i nie poświęciliśmy go zbyt mało temu wyjątkowemu człowiekowi?

Bo to nie tylko pisarz, z którym można porozmawiać na każdy temat literacki, ale przede wszystkim człowiek. Niezwykle wrażliwy, subtelny, czasem kruchy, ale też dobry (tym Norwidowskim dualizmem poezji i dobroci, która jako jedyna po nas pozostaje), życzliwy, służący radą.

Jest autorem 23 książek (poezja, proza, dramat), niezliczonej ilości publikacji popularno-naukowych (choćby o Janie Szczepaniku i Franciszku Piku-Mirandoli), artykułów, recenzji, słuchowisk. Wielokrotnie honorowany (m.in. nagrodami: im. St. Piętaka, R. Milczew-

skiego-Bruna, Jarosława Iwaszkiewicza, Nagrodą Fundacji Kultury). Otrzymywał też stypendium Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Niedługo będziemy obchodzić 50-lecie jego twórczości. Dzięki niezwyklej publikacji Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Frazza” pod redakcją naukową Magdaleny Rabizobireki i Jana Wolskiego ukazało się swoiste opus magnum o dorobku literackim naszego jubilata pt. *Wielkie sprawy codzienne. Studia i szkice o twórczości Jana Tulika* (Rzeszów 2025).

We wstępie autorzy piszą: „Dzieło poetyckie, prozatorskie, dramatyczne oraz publicystyka Jana Tulika bez wątpienia zajmują we współczesnej literaturze polskiej, szczególnie tej kojarzonej z regionem Polski południowo-wschodniej, miejsce wyjątkowe. Jego związki z bliższą ojczyzną, urodą beskidzkiego, krośnieńskiego pejzażu i odbicie w twórczości są oczywiste i zamykają się we własnym, odrębnym, charakterystycznym i rozpoznawalnym stylizacyjnie widzeniu świata, manifestując razem indywidualny typ przeżywania”.

Miałem przywilej napisać esej o tej twórczości (*Poetyckie iluminacje Jana Tulika*), ale też z Aleksandrą Smusz przeprowadzić wywiad z autorem *Budzonego licha* pt. *Piszę, żeby zwiędzać samego siebie*. Oba teksty opublikowane są we wspomnianej książce.

Ponadto oprócz wymienionych nazwisk swojego głosu o twórczości Tulika udzielili w niej: Katarzyna Tulik (Jan Tulik jako duch sprawczy życia literackiego), Krystyna Latawiec (pisze o melancholii w poezji Tulika), Mariusz Kalandyk, Krystyna Gielarek-Gorczyca, Barbara Sokołowska, Ewelina Radion, Janusz Łastowiecki (o słuchowiskach Jana Tulika), Roman Magryś, Jan Wolski, Magdalena Rabizobirek, Grzegorz Kociuba (o wielowymiarowości i polifoniczności w twórczości autora Furty), Andrzej Gałowicz, Beata Śniecikowska (o paradoksach w haiku Jana Tulika), Barbara Trygar, Ryszard Mścisz, Rafał Rżany, Krystyna Lenkowska, Wiesław Setlak, Jadwiga Olbrycht, Zofia Bartecka, Janusz Pasternski i Rena Marciniak-Kosmowska.

Karol Maliszewski zaś tak pisze m.in. na kanwie lektury poetyckiej prozy, jaką jest *Doświadczenie* (1988) Jana Tulika, zaprezentowanej w mistrzowskiej interpretacji Marka Kondrata w rozgłośni III Programu Polskiego Radia: „Refleksja pierwsza wiązała się z poczuciem zanurzenia w najlepszych tradycjach narracji spod znaku nurtu wiejskiego w naszej literaturze. Nigdy nie zgodzę się z przyjętą opinią o czarnej dziurze tamtych lat, rzekomo jałowym czasie literatury”.

Książkę uzupełniają wiersze i opowiadania autora, liczne fotografie, a także obszerna bibliografia.

Zawarto w niej też recenzje naukowe dra hab. Pawła Tańskiego, który wspomina: „Wszystkie artykuły zamieszczone w tym studium napisane są świetnym językiem, na wysokim poziomie stylu”, ale też prof. dr hab. Zbigniewa Chojnowskiego, puentującego treść książki słowami: „Mimo że autorzy artykułów, esejów i szkiców prezentują odmienne metodologie i wrażliwość, odkrywają elementy

składające się na wielowymiarowy portret osobowości twórczej Jana Tulika”.

Nie jest to wydawnictwo pełne i zamknięte, lecz takie, które posłuży raczej do dalszych badań nad dziełem autora zamieszkałego od ponad dekady w Miejsu Piastowym. Bo każdy z nas jest w stanie dostrzec brak analiz i interpretacji wielu wątków przewijających się w twórczości poety. Wyrażam nadzieję, że nie będzie do tego potrzebny kolejny okrągły jubileusz tego znakomitego – nie tylko w moim przekonaniu – artysty i takie studium powstanie wcześniej.

Jan Tulik debiutował na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku książkami poetyckimi *Zdarzenie w C-durze* (Rzeszów 1981) i *Ocalone drzewo* (Warszawa 1982), zauważonymi zarówno przez krytykę, jak i czytelników. To był trudny czas dla literatury, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego. Twórcy w obliczu rozbicia środowisk artystycznych musieli odnaleźć własną drogę, odłączyć od zaangażowania w narzucony z góry kierunek rozwoju pisarstwa oraz wyabstrahowanych z czasu poszukiwań formalnych. Dlatego pokolenie roczników pięćdziesiątych bywa określane jako „Nowa Prywatność”. Sądzę, że prywatność poezji i prozy Jana Tulika wykroczyła daleko poza subiektywne odczucia wąskiej grupy odbiorców. Zdobyła pełne prawo do uznania – nie tylko z powodu zawartych w niej interesującego dialogu z tradycją, ale także równie w niej ważnego wytyczania nowych dróg, poszukiwania własnej dykcji, przy uniknięciu hermetyzmu cechującego wielu innych przedstawicieli i przedstawicieli tego pokolenia. Głos Jana Tulika jest na tyle osobny, że nie można wątpić w jego wyjątkowość. Należy do jednego z najważniejszych tonów pokolenia „Nowej Prywatności”. Z racji podwójnego jubileuszu – siedemdziesiątych piątych urodzin i czterdziestopięciolecia debiutu książkowego – dziękujemy pocie, ale wciąż prosimy o więcej, wiemy przecież, że jego archiwum skrywiają sporo perełek tworzących owe iluminacje, bez których światła trudno żyć, a jeszcze trudniej rozumieć świat.

Jan Belcik



Jan Tulik

Źródło fotografii:
<https://www.facebook.com/profile.php?id=100005402913593>

Kozetka (125)



Półmetek

*Jeszcze nigdy nie było,
żeby jakoś nie było.*

Joanna Friedrich

Z przyjemnością wchodzę w półmetek roku w półmetku życia. Osiągnęłam spokój ducha Wojaka Szwejka i ze spokojem spoglądam w przyszłość. Kolekcjonuję dobre momenty, migotliwe chwile. Świat nie jest taki zły, kiedy kwitną jabłonie, owocują czereśnie i człowiek nauczy się wreszcie kiść ogórki.

Lato rozpuszcza granice, rozszerza przyłbicę, topi wątpliwości. Pozycja na leżaku sprzyja osiąganiu zen. Nie trzeba już robić formy na plażę, plaża już tu jest. Nie trzeba kupować willii nad Morzem Śródziemnym, ten klimat już tu jest, razem z temperaturą z Costa del Sol.



Carpe diem i ad fontes. Renesans kusi niezmiennie. Czas skorzystać z noworocznych postanowień i wypić te wszystkie zaległe kawy z przyjaciółmi pod chmurką.

I jak najczęściej odkładać telefon nie gubiąc go. Nie tworzyć list, a pisać listy. Pamiętać, że kropla miłości działa więcej niż ocean rozumu. Przyjemnych wakacji, Kochani! Pamiętajcie o czapkach z daszkami i odbłaskowych kostiumach kąpielowych – to bardzo ułatwia pracę ratownikom wodnym.



Śmierć rysownika

Chcę opowiedzieć o najnowszej książce **Szymona Koprowskiego**, pisarza bardzo mi bliskiego, a przy tym kolegi redakcyjnego „Przeglądu Dziennikarskiego”, i prywatnie – serdecznego przyjaciela. W swojej rubryce pisałem już kilkakrotnie o Jego wcześniejszych, znakomitych powieściach, jak: „Jaśmin Babel rusza w świat” (6.9.2022), „Requiem dla Wrocławia” (20.5.2021) czy „Za chwilę zacznie padać deszcz” (9.1.2020). Dziś do tych „perełek” literackich dorzuca kolejną powieść pt. „Śmierć rysownika”!

Ta książka potwierdza nie tylko jego niebywały talent literacki, ale także by docenić go jako znakomitego rysownika! Bowiem najnowsza książka została wzbogacona ilustracjami, na podstawie których Bartosz Harlander zaprojektował bardzo ciekawą okładkę.

W nowej książce Koprowskiego „wszystko” jest pogmatwane, w totalnym chaosie i... nieprawdopodobnej wyobraźni, prezentującej realne życie. Ilustrują to także wspomniane wyżej rysunki, które jeszcze bardziej podkreślają w powieści zawiłość poruszanych przez Autora tematów. Jakże trafnie podkreśla to w swej przedmowie Andrzej Dębowski, że książka Koprowskiego jest „relacją jednostki z rzeczywistością społeczną...” oraz: „...zbiorowe emocje pojawiają się nie jako tematy do dyskusji, lecz siły oddziałujące na psychikę, język i relacje międzyludzkie”. Zatem nowa książka Koprowskiego nie jest fantazją!

W pewnym uproszczeniu można by powiedzieć, że przedstawia Polskę taką, jaką ona dzisiaj jest. Przede wszystkim podzieloną politycznie! Obok rzeczy wielkich i pożytecznych dzieją się w niej koszarne świństwa i niewyobrażalna manipulacja ludźmi.

Wielka szkoda, że to społeczeństwo dalekie jest od pojednania i powszechnej zgody, choć napięta sytuacja światowa – mam na myśli toczące się aktualnie wojny (w tym jedna tuż za granicą – wschodnią naszego kraju) tego wymaga.

I jeszcze jedno: kapitalna jest dla mnie „mroczność” postaci głównego bohatera, ale także Julii robiącej „karierę” bez jakichkolwiek wewnętrznych hamulców!

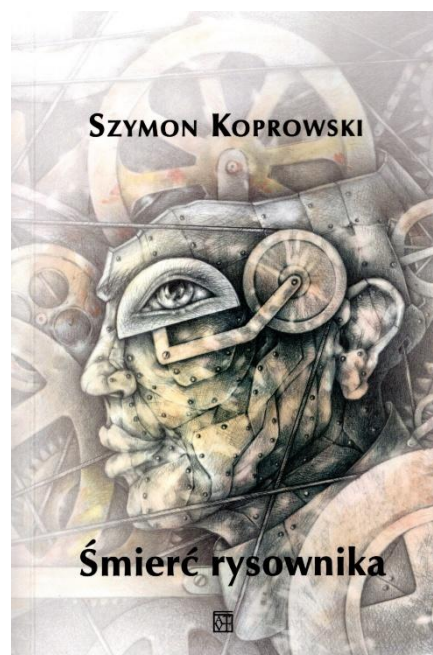
Tę powieść powinien przeczytać każdy, by mieć o niej swoje zdanie wynikające z... własnego rachunku sumienia, w zderzeniu z realiami dnia codziennego, które tak dobrze znamy.

Koprowski – wspaniale (ale i z rozwagą) operując słowem, pisze o naszej rzeczywistości niezwykle śmiało. I właśnie tak trzeba!

Książkę „Śmierć rysownika” polecam jako bardzo ważną, szczególnie właśnie dziś, kiedy nie tylko Polska, ale i niemalże cały świat znalazł się w skomplikowanej sytuacji. Ta powieść jest rozwinięciem wcześniejszych książek pisarza, od tych już wyżej wspomnianych – także: „Balkon na krańcu świata”, „Uszy van Gogha”, „Dybuk z ulicy Piotrkowskiej” i „Szepty i krzyki Stumilowego Lasu”.

Autorowi życzę dalszego rozwoju, czyli co najmniej kolejnych 8 książek!

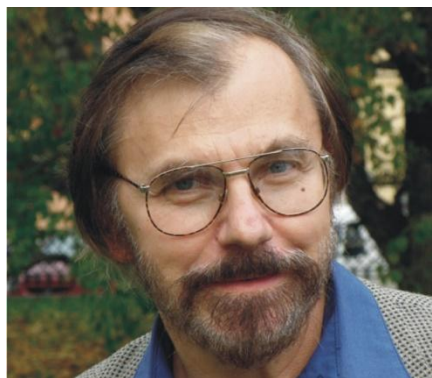
Karol Czejarek



Szymon Koprowski, *Śmierć rysownika*. Przedmowa: Andrzej Dębowski. Redakcja: Robert Cioch. Korekta: Maria Zabran. Ilustracje: Szymon Koprowski. Na podstawie rysunku Szymona Koprowskiego projekt okładki wykonał Bartosz Harlander. DTP: Bartosz Harlander. Oficyna Wydawnicza ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Kraków 2026, s. 208.



Listy do Pani A. (216)



Fot. Andrzej Dębowski

„Zwis comica”

Droga Pani!

Pisałem Pani poprzednio, że fascynuje mnie świat przedstawiany przez dawną literaturę. I znowu popadam w złudzenia. Mam wrażenie, że moje lektury wprowadzają mnie w świat inny, a przecież taki sam. Choć nie do końca identyczny. Jednak ludzie mieli nieco inną mentalność, obowiązywała jakaś kultura, etyka. Warto poczytać choćby Prusa czy Sienkiewicza. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że i wtedy łobuzów nie brakowało, tylko proporcje były nie tak drastyczne. Dziś warstwy „wyższe” przemieszały się z „niższymi”, a w konsekwencji wszyscy solidarnie i hurtowo schamieliśmy.

Niektóre dawne środowiska, np. akademickie, były wypisz wymaluj takie jak obecnie, i to nie tylko w Polsce. Czytam wspomnienia o Marii Skłodowskiej-Curie napisane przez jej córkę Ewę. Maria w młodości nie miała w Polsce szans rozwijać się naukowo, więc musiała wyjechać do Paryża. I byłby w błędzie ten, kto by sądził, że znalazła się w akademickim raju. Okazało się, że tam również intrygi, udawanie, brak pieniędzy na wspieranie nauki, potwornie ciężkie warunki, odmawianie stypendiów, pokój na skromne laboratorium... Skąd my to znamy. Tylko jednostki silne, pełne pasji, mogły w heroiczny sposób do czegoś dojść. Czytałem tę książkę i miałem przed oczami naszą rzeczywistość. Wspomnienia Ewy Curie, świetnie napisane, znakomicie przełożone z francuskiego na polski przez Hannę Szylłero, są lekturą pasjonującą. A jednocześnie nasuwają wiele analogii jeśli chodzi o naszą rzeczywistość.

Okazuje się, że nasze narzekania nie są niczym nowym. Ludzie, przynajmniej niektórzy, zawsze musieli zmagać się z trudnościami, obójnością, zazdrością. Bardzo polecam Pani lekturę tych ciekawych wspomnień. Będzie Pani miała inny, dużo szerszy obraz naszej rzeczywistości, która jest jakby kontynuacją tej dawnej. Dużo racji w powiedzeniu, że historia lubi się powtarzać. A może w pewnym stopniu jest niezmienna?

Nawet po otrzymaniu Nagrody Nobla położenie państwa Curie się nie zmieniło. Dalej intrygi, zazdrości, zamiast porządnego labo-

ratorium nędzna szopa, w której dokonywać się musiały wielkopomne odkrycia. Ale oni wiedzieli: nie nagrody i odznaczenia są miarą wartości.

Tymczasem nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, dosyć oczywistego, faktu. Zwłaszcza w dzisiejszym środowisku, które chce uchodzić za literackie. Pisałem Pani w poprzednim liście, że niektórzy gotowi są kupować atrapy nagród i dyplomów, bo to w ich własnych oczach podnosi ich do rangi genialnych klasyków. Chcą się na wszelkie sposoby „uwiecznić”, a zasługują ze względu na „twórczość” co najwyżej na zaistnienie w gabinecie... figur stolcowych. Mogłbym wskazać...

Pomyśli Pani, że znowu narzekam i chorobliwie krytykuję. O planktonie pisać łatwiej, bo sam się podkłada, śmiesz, robi głupstwa, można powiedzieć: ot, „zwis comica”; a w wierszach się objawia – poetycka Mona Syfiliś... Ale bez tego byłoby nudno i nieśmiesznie, a więc zawsze jakiś plus jest.

Są w naszej literackiej przestrzeni zjawiska ze wszech miar twórcze. Przysłał mi oto Jerzy Hajduga tom utworów, wydany wspólnie z Lechem Szegłowskim. Zbiór to dosyć osobliwy a bezapelacyjnie nowatorski. Nosi tytuł „Z biegiem dni”, O ile utwory Szegłowskiego zbliżają się do klasycznego haiku, o tyle Jerzy Hajduga stworzył coś zupełnie innego, oryginalnego, i nazwał to „hajdugany”. Cóż to takiego? Jest to – jak czytamy – *nowy gatunek poetycki wykreowany przez poetę i duchownego Jerzego Hajdugę. To krótka forma, w której tytuł – integralna część wiersza – jest zarazem jego pierwszym wersem.*

Mamy tu do czynienia ze wielokrotnymi przerzutniami, poetycką kondensacją. Świetnie ujął to Jerzy w dedykacji na ofiarowanej mi książce: „Stefanowi między słowem a ciszą”. Potrafi Jerzy bardzo głęboko penetrować owe obszary, odkrywając zupełnie nowe znaczeniowe przestrzenie... pomiędzy przestrzeniami; w genialnym skrócie zawrzeć całą poetycką opowieść; oczywiście nie w sensie epickim lecz emocjonalnym, wyobraźniowym, w najczystszej postaci poetyckim. Rzec by: są to swoiste poetyckie destylaty.

Podobnie świetne są haiku Szegłowskiego. Świetnie korespondują z „hajduganami”. Ta „koegzystencja” uwypukla napięcia estetyczne, emocjonalne, znaczeniowe. A więc i tutaj spotykamy się z jakże z twórczym podejściem do tradycji. Bardzo polecam Pani tę książkę. Na pewno przyniesie ona dużo refleksji oraz artystycznych wzruszeń. Jest to zupełnie nowatorskie spojrzenie na poetyckie słowo.

Podobną oszczędnością charakteryzują się wiersze Anny Sołbut z tomu „Imię wiatru”. Są barwne, pełne odniesień do osobistego doświadczenia podmiotu lirycznego jak i – nazwijmy to – egzystencji uogólnionej, to znaczy w uniwersalny sposób definiującej nasze emocje. Okazuje się, że oszczędna ich forma staje się bardzo pojemną. W tych na pierwszy rzut oka ascetycznych wierszach potrafi Anna Sołbut zawrzeć prawdę o człowieku; pokazać, co jest ważne, demaskować nasze iluzje, jednocześnie pokazywać drogę do absolutnej

Prawdy. Nie ma tu retoryki, konwencjonalnego dydaktyzmu. Ważny tu jest poetycki obraz odwołujący się do wrażliwości i wyobraźni czytelnika. Można zaryzykować twierdzenie, że jest to poezja „kategoryczna” w swoich diagnozach – paradoksalnie dzięki swojej delikatności oraz szerokiemu marginesowi dla wolności interpretacyjnej. Znajdzie Pani w tych sugestywnych, bardzo pojemnych wierszach zaskakujące, pomysłowe przesłania, celne metafory, ale i głębię intelektualną oraz emocjonalną, co w sumie daje świetny efekt. Powtarza się tutaj motyw wiatru jako czegoś ulotnego, przejrzystego, uymykającego definicjom. Niedostrzegalnego, ale w sposób realny i ekspresyjny żyjącego w nas i obok nas. Warto poddać się tej nieuchwytniej a przecież uchwytniej sile. Na tym polega niepowtarzalność tych wierszy, tak oszczędnych a paradoksalnie pełnych jakże bogatych treści.

Grzegorz Kramer SJ napisał, że trzeba czytać poezję, ponieważ przenosi nas ona nas w świat wzruszeń, nowych zauważeń, odrywa od szarości, ustalonych konwencji. I ma świętą rację. Tak, trzeba czytać poezję. Ale jest ona nie tylko „pięknym wzruszeniem”. To opis świata, diagnoza stawiana rzeczywistości, niekiedy bolesna; wyznaczenie, często ekshibicjonistyczne, podmiotu lirycznego. Ale i świadectwo afirmacji świata, czasem negacja tego, co postrzegamy. Płatania ambiwalencji; niepowtarzalny, skomplikowany świat przedstawiony, zmaganie się artysty, aby „odpowiednie dać rzeczy słowo”. To może w pełni odnosić się do twórczości Anny Sołbut.

Tak więc zachęcam Panią do czytania poezji. Czytajmy, ale autentyczną poezję, nie zaś wzdychajki licznych paniuszy mających się za wieszczki i apostołki piękna. Takie współczesne Deotymy. To o niej Sienkiewicz złośliwie mawiał „Deotyma się nadyma”. Ale teraz po tylu latach można stwierdzić, że w porównaniu z dzisiejszą grafomanią Jadwiga Łuszczewska była jednak zupełnie niezłą autorką. Świadczyć o tym może choćby to, że do dzisiaj o niej pamiętamy. W różnych kontekstach, ale zawsze.

Mam nadzieję, że to co tutaj piszę, w jakiś sposób Pani pomaga? Chciałbym, ażeby tak było. Staram się dzielić się z Panią tym, co uważam za najlepsze. Owszem, mogę się mylić, Ale – wybór należy do Pani.

Tymczasem mamy lipiec. Opowiadałem Pani o moim wnuku Hubercie. Otóż z powodzeniem zdał maturę, a ustny polski na sto procent. Aż sam się zdziwił, a otoczenie wraz z nim. Życie nas zaskakuje, i właśnie o podobnych zaskoczeniach mówi nam poezja.

Teraz czas na relaks, rozmowy z naturą, wsłuchiwanie się w ciszę i wielomówny wiatr, jak w wierszach Anny Sołbut.

Zatem życzę Pani wielu pozytywnych wzruszeń, które wynikają z uważnego wpatrywania się w „dzień gorącego lata” –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

Strażnik rozproszonego skarbca

*W historii polskiej kultury XX wieku są postaci, które działają jak cichy fundament pod wielkimi gmachami pamięci narodowej. Nie przemawiają z trybun, nie szukają politycznej sławy, nie budują własnych pomników. Ich nazwiska bywają znane jedynie muzealnikom, archiwistom, historykom sztuki i tym, którzy wiedzą, jak dramatyczne były powojenne losy polskiego dziedzictwa. Do takich ludzi należał bez wątpienia **Julian Godlewski** – człowiek, który przez dziesięciolecia ratował polskie dziedzictwo rozproszone po świecie, wykupywał je z antykwariatów i prywatnych kolekcji, a następnie oddawał Polsce. Nie kolekcjoner dla własnej próżności, lecz strażnik pamięci narodowej.*

Andrzej Dębkowski

Urodzony we Lwowie w 1903 roku wyrastał w środowisku, gdzie kultura, prawo i służba publiczna były naturalnym obowiązkiem inteligencji. Jego ojciec był prezesem Izby Adwokackiej we Lwowie, a dziadek, Julian Zachariewicz, należał do najwybitniejszych architektów epoki, rektorem Politechniki Lwowskiej i twórcą wielu budowli, które do dziś określają pejzaż dawnego miasta. Godlewski od początku wyrastał więc w przekonaniu, że polskość nie jest abstrakcją, lecz konkretnym obowiązkiem wobec kultury, państwa i historii.

Już jako siedemnastoletni chłopak zgłosił się ochotniczo do wojska podczas wojny polsko-bolszewickiej. Wstąpił do 8. Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego, a więc

formacji symbolicznej dla tradycji II Rzeczypospolitej. Ten młodzieńczy gest był czymś więcej niż romantycznym uniesieniem. W całym późniejszym życiu Godlewskiego powracał bowiem ten sam rys charakteru: poczucie, że Polska wymaga konkretnego działania, a nie jedynie deklaracji.

Po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza rozpoczął pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wojna ponownie rzuciła go jednak do walki. Służył w 1 Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka, jednej z najbardziej legendarnych polskich formacji na Zachodzie. W bitwie pod Falaise został ciężko ranny. Dla wielu ludzi wojna byłaby wystarczającym doświadczeniem, by zamknąć się we własnym życiu. Dla niego była początkiem jeszcze większej misji.

Po wojnie pozostał na emigracji. Najpierw Stany Zjednoczone, później Argentyna, wreszcie Europa Zachodnia i Szwajcaria. Mieszkał przez lata w Lugano, w hotelu „Splendide Royal”, człowiek zamożny, wpływowy, związany z koncernem Thyssena. Mógł prowadzić życie spokojnego milionera, odciętego od problemów kraju pozostającego za żelazną kurtyną. Tymczasem właśnie wtedy rozpoczęła się jego największa działalność.

Godlewski doskonale rozumiał, że po II wojnie światowej Polska została nie tylko zniszczona fizycznie, ale również ograbiona duchowo. Spłonęły biblioteki, rozkradziono kolekcje arystokratyczne, zaginęły obrazy, militaria, arrasy, rękopisy. Wiele polskich dzieł sztuki znalazło się na zachodnich aukcjach, w prywatnych kolekcjach, w antykwariatach Londynu, Paryża czy Zurychu. I właśnie wtedy Julian Godlewski zaczął działać jak prywatne ministerstwo odzyskiwania pamięci narodowej.

Nie kupował sztuki dla prestiżu. Kupował ją po to, by wróciła do Polski albo służyła polskiej kulturze na emigracji. To zasadnicza różnica. W praktyce oznaczało to ogromne wydatki finansowe, prowadzone często dyskretnie, bez rozgłosu i bez oczekiwania wdzięczności. W czasach, gdy państwo komunistyczne nie było w stanie odzyskiwać wielu obiektów, on robił to prywatnie.

Najbardziej spektakularnym przykładem pozostaje jego działalność wobec Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Ta placówka była czymś więcej niż muzeum. Była symbolicznym depozytem polskiej pamięci narodowej na emigracji. Godlewski stał się jej najważniejszym dobroczyńcą i właściwie współtwórcą jej nowoczesnej potęgi. Przekazał około 100 tysięcy franków szwajcarskich na podstawy materialne funkcjonowania muzeum – gigantyczną sumę jak na owe czasy – a ponadto finansował jego działalność przez całe lata. Współtworzył Fundację „Libertas”, która miała zapewnić placówce stabilność finansową.

Jednak prawdziwe znaczenie miały nie tyle pieniądze, ile dzieła sztuki. To dzięki niemu do Rapperswilu trafiły obrazy takich mistrzów jak Józef Brandt, Józef Chełmoński, Jacek Malczewski, Leon Wyczółkowski, Piotr Michałowski czy Alfred Wierusz-Kowalski. Nie były to przypadkowe zakupy. Godlewski

budował kolekcję strategicznie, świadomie tworząc reprezentację polskiej sztuki narodowej poza granicami kraju. W praktyce stworzył rdzeń zbiorów muzeum.

Warto zrozumieć skalę tego wysiłku. Dziesiątki, a prawdopodobnie setki dzieł sztuki były przez niego wyszukiwane na rynku europejskim, kupowane za prywatne pieniądze, konserwowane, przewożone i przekazywane instytucjom. To była działalność niemal państwowa, prowadzona przez jednego człowieka.

Szczególne miejsce w jego działalności zajmował Wawel. Powojenny Wawel wymagał odbudowy nie tylko murów, ale także dawnej świetności zbiorów. Godlewski stał się jednym z najważniejszych prywatnych mecenasów zamku w całym XX wieku. Kupował na Zachodzie dzieła związane z historią Rzeczypospolitej i przekazywał je wawelskiej kolekcji. Wśród nich znalazły się portrety polskich monarchów, zabytki złotnictwa, tkaniny, dzieła rzemiosła artystycznego i militaria.

Jednym z najważniejszych darów był słynny arras z herbami Dymitra Chaleckiego. Ten wyjątkowy zabytek wcześniej należał do Edwarda Raczyńskiego, po wojnie znalazł się w Londynie, a w 1962 roku został wykupiony przez Godlewskiego. Nie zatrzymał go jednak dla siebie. Przekazał go na Wawel. Gest ten miał wymiar niemal symboliczny: oto polski emigrant odzyskuje fragment dawnej Rzeczypospolitej i przywraca go narodowej wspólnocie.



Julian Godlewski

Podobne znaczenie miał kielich Kazimierza Wielkiego z 1351 roku, również podarowany Wawelowi. Były to obiekty bezcenne, nie tylko materialnie, ale historycznie. W czasach, gdy wiele państw Europy Zachodniej budowało własne kolekcje narodowe poprzez wykupywanie zabytków z całego świata, Godlewski działał odwrotnie – odzyskiwał dla Polski to, co z niej wypłynęło.

Nie ograniczał się jednak do jednej instytucji. Wspierał również Zamek Królewski w Warszawie, uczestnicząc pośrednio w odbudowie jego kolekcji po wojennym zniszczeniu.

(Dokończenie na stronie 16)

Strażnik rozproszonego skarbcza

(Dokończenie ze strony 15)

Przekazywał Muzeum Narodowemu obrazy i obiekty artystyczne, wspomagał kolekcje militarne, wykupywał polską broń historyczną i pamiątki wojskowe.

Był przy tym człowiekiem niezwykle dyskretnym. Współczesny świat przyzwyczaił się do filantropii ostentacyjnej, medialnej, budowanej wokół nazwisk sponsorów. Godlewski działał odwrotnie. Nie potrzebował kampanii reklamowych ani konferencji prasowych. W wielu muzealnych katalogach pojawia się jedynie lakoniczny dopisek: „dar Juliana Godlewskiego”. Za tym krótkim zdaniem kryją się jednak lata poszukiwań, negocjacji i wydawania ogromnych pieniędzy.

Równie imponująca była jego działalność społeczna. Przez wiele lat wspierał Zakład dla Niewidomych w Laskach, finansował Centrum Zdrowia Dziecka, pomagał seminarium duchownym, fundował stypendia. Niektóre z tych działań pozostają niemal nieudokumentowane, bo sam nie zabiegał o ich nagłaśnianie.



Nadanie doktoratu *honoris causa*
Julianowi Godlewskiemu
Uniwersytet Jagielloński, maj 1981

Szczególnym rozdziałem była pomoc dla polskiej emigracji intelektualnej. Fundując Nagrodę im. Anny Godlewskiej – nazwaną na cześć matki – stworzył jedno z najważniejszych wyróżnień dla polskiej kultury emigracyjnej. Laureatami zostawali ludzie tej miary co Józef Mackiewicz, Jerzy Giedroyc, Józef Czapski, Marian Hemar czy Mieczysław Grydzewski. Było to nie tylko wsparcie finansowe, ale także akt symboliczny: potwierdzenie, że polska kultura istnieje ponad granicami i ponad systemami politycznymi.

Warto przypomnieć także jego rolę w sukcesach polskiego himalaizmu. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wspierał finansowo wyprawy wysokogórskie, w tym ekspedycje himalajskie i zimowe wejście na Mount Everest kierowane przez Andrzeja Zawadę. To niezwykle charakterystyczne: Godlewski rozumiał kulturę szeroko. Nie jako zbiór muzealnych eksponatów, ale jako

energię narodu – obejmującą sztukę, naukę, sport, edukację i pamięć historyczną.

Jednym z najbardziej wzruszających świadectw jego działalności są wspomnienia beneficjentów stypendiów. Dzięki jego pomocy wielu młodych Polaków mogło studiować za granicą, rozwijać kariery naukowe i artystyczne. Nie inwestował więc wyłącznie w przedmioty. Inwestował w ludzi.

W istocie Julian Godlewski należał do wymierającego dziś typu polskiego inteligenta-patrioty, który uważał majątek za narzędzie służby publicznej. Nie był politykiem, a jednak zrobił dla polskiej kultury więcej niż niejeden minister. Nie był dyrektorem muzeum, a jednak odbudowywał kolekcje narodowe. Nie był profesorem historii sztuki, a jednak ratował dziedzictwo artystyczne całych epok.

Dzisiaj, gdy mówi się o odbudowie pamięci narodowej, o ochronie dziedzictwa i mecenacie kultury, nazwisko Juliana Godlewskiego powinno pojawiać się znacznie częściej. Bo jego działalność pokazuje, że kultura nie utrzymuje się sama. Potrzebuje ludzi gotowych poświęcić czas, pieniądze i energię dla czegoś większego od siebie.

Był człowiekiem, który rozumiał dramat rozproszonego polskiego skarbcza po II wojnie światowej. I próbował ten skarbiec mozolnie scalać. Obraz po obrazie. Arras po arrasie. Kielich po kielichu. Stypendium po stypendium. To właśnie dlatego jego biografia jest czymś więcej niż historią bogatego filantropa. To opowieść o człowieku, który całe życie prowadził prywatną akcję odzyskiwania polskiej pamięci.

Andrzej Dębowski

Miroslaw G. Majewski

Portret artysty dojrzałego

Prozę Marka Nowakowskiego trudno opisać jednym zdaniem, chociaż z drugiej strony coby nie wyszło spod pióra Nowakowskiego w większości oscyluje wokół dwóch światów, tego mieszczańskiego, jakiego by tu słowa nie użyć, szarego, normalnego życia.

Dom, praca, dom, często kościół, dom, szkoła, dom, rzadziej kościół. Jak w polskich filmach, nic się nie dzieje nuda, nuda, oraz tego z przedmieść, z półświatka, gdzie nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczałby się po zmroku. Jest to świat złodziei, bandytów, kurewek, milicji i więzień. Przeczytałem kilka książek Nowakowskiego, a ostatnio kupiłem na Allegro „Portret artysty z czasów dojrzałości” sądząc, że jest to autobiografia Nowakowskiego, byłem trochę rozczarowany, że książka jest kolejnym tomem opowiadań.

Opowiadań artysty z czasów dojrzałości, i na temat tej książki chcę się podzielić moimi refleksjami. A więc, pierwsze wydanie

tych opowiadań było w drugim obiegu w roku 1987 przez Oficynę wydawniczą „Nowa”. Cenzura, mająca się jeszcze w miarę dobrze, nie przepuściłaby tych opowiadań Nowakowskiemu, za dużo tam było o UB, żołnierzach AK czy Andersa. Nowakowski nie kryje w tych opowiadaniach swoich poglądów, także tych, które miał, jako młody człowiek zauroczony komunizmem z którego w miarę szybko się wykaraskał.

Każde opowiadanie w tej książce jest datowane rokiem, a więc czytelnik wie, które opowiadanie było pisane w 1960 roku a które w 1974 czy w 1986, to daje nam wgląd w metamorfozę którą przechodził Nowakowski, który jako człowiek jest dzieckiem warszawskiego przedmieść (urodzony w 1935 we Włochach, które w 1951 wchłonęła stolica.) Opowiadania siłą rzeczy są skażone datą i miejscem jego narodzin.

Wojna skończyła się gdy Nowakowski miał 10 lat, i jeszcze długo nie było wiadomo co to będzie za Polska, czy już w szkole podstawowej będziemy uczyć się języka rosyjskiego czy dał Boże angielskiego. Czytając opowiadania Nowakowskiego zawsze brakowało mi mocnej puenty. Czytelnik dziwi się (a może tylko ja) że opowiadanie urywa się jak pieśń w połowie, że można było jeszcze coś dopisać albo zmienić. Albo, albo! Za to autor jest autentyczny niczym reporter, Nowakowski nie eksperymentuje, nie wydziwia, jest niczym Max Kolonko, który mówi jak jest. Kiedy wchodzisz do wychodka to nie tylko widzisz kawałki Trybuny Ludu na gwoździu, ale wręcz czujesz jak to mogło pachnieć.

Książki Nowakowskiego są dobrze napisanymi czytadłami z reguły na byle jakim papierze i miękką okładką, takie na dłuższą podróż pociągami czy autobusem PKP. Może je czytać stróż nocny w swojej kanciapie, czy instruktor BHP w zakładzie w czasie przerw w zajęciach. Ale też mogą je czytać profesorowie na uczelni i cały establishment dla którego będzie to niezwykły, rodzimy folklor z którym nigdy się nie zetkną.

Podobnie do Nowakowskiego pisał cztery lata starszy Jan Himilbach, człowiek orkiestra, pisarz, aktor, kamieniarz. Z tym, że dla mnie Himilbach był bardziej autentyczny, bardziej soczysty, Nowakowski mimo wszystko trzymał fason. W opowiadaniu „Mój przyjaciel Pisarz” autor wodzi nas za nos, podejrzewamy, że tym pisarzem mógłby być Jarosław Iwaszkiewicz, ale opowiadanie datowane jest rokiem 1974, a Przyjaciel Pisarz umarł przedawkowując barbiturany.

Tak Marek Nowakowski zostawia na bezpuenty, nie wiemy kim był ten wspaniały Przyjaciel Pisarz, który pomógł Nowakowskiemu wejść na wyboistą drogę życia pisarza.

I na koniec ciekawostka, najkrótsze opowiadanie Nowakowskiego „Tytoniowa sprawiedliwość” ma około 60 słów.

Marek Nowakowski, *Portret artysty z czasów dojrzałości*. Wydawnictwo Iskry 1989.

Marcin Kurcbuch

Heksagonalne komórki twórczości Joanny Nowocień

Najnowsza książka **Joanny Nowocień**, która jest nie tylko znaną poetką, ale również mistrzynią wglądów duchowych, to dzieło pracowitości. Nie dziwi więc, że zaprasza nas do zgłębiania *Osobliwych stanów odniesienia*. Pozwólcie, że z gracją i szczegółowością chirurga literackiego, a niekiedy cierpliwością pszczelarza, rozbiore na czynniki pierwsze przekazy zawarte w tej książce.

Należy zwrócić uwagę na miejsce w tomiku, w którym wybrzmiewa fraza *osobliwe stany odniesienia*. Określenie to odnajdujemy już na samym początku książki, w wierszu *Bio-ul*, który jest swego rodzaju wskazówką, w jaki sposób powstają wiersze autorki (i podmiotu lirycznego zarazem). Nie dzieje się to w ciszy gabinetów, bibliotek czy nawet w gwarze artystycznych piwnic. W utworze czytamy: *w nocy wypuszczam pszczoły / na lunarne łąki* – a więc porą najlepszą do pisania wierszy jest czas, gdy większość z nas śpi – to wtedy rozświełają się lunarne łąki, z których pracowite pszczoły nad ranem przynoszą poecie nektar w postaci unikatowych wersów. I tutaj należy się zatrzymać, bo podobnie jak zbieranie przez owady nektaru nie jest zadaniem wieńczącym ich dzieło, tak i w tym przypadku to dopiero połowa pracy. Następnie autorka wierszy przepuszcza pozbierane frazy przez miodarkę – czym dokładnie ona jest w tej pracy? Warsztatem pisarskim? Przeprowadzaniem własnych procesów? Podmiot liryczny tego nie zdradza, a jednak czujemy, że poetyka i zgrabne ujęcie form literackich to dwie, następujące po sobie, części tej samej pracy. I właśnie w tym miejscu wkraczają do świata poetki *osobliwe stany odniesienia*. To one decydują o tym, jakiego rodzaju pszczelej muzyki będziemy świadkami w niniejszym tomie. Muszą być osobliwe, bo takimi wrażeniami karmi się poezja. I to im zawdzięcza swoją moc oraz wyjątkowość – choćby dlatego nie można jej budować na typowych stanach odniesienia, jakie miewa każdy, lecz osobliwe – poeci.

Analiza wierszy zawartych w tym tomie pozwala stworzyć misterny, znany naturze od tysięcy lat, układ heksagonalny. Czyli taki, w którym powstaje miód. Zajrzyjmy więc do wnętrza tych misternie połączonych miodnych komórek. Jakie wartości odżywcze w sześciokątnym symbolu odnajdziemy? Tematyka podejmowana w utworach jest na tyle wielowymiarowa, że przypisanie wierszy do jednego określonego kąta heksagonu może budzić wątpliwości, toteż skatalogowałem moje refleksje w sześciu wątkach.

1. Wdzięczność

To temat otwierający nasze rozważania, który przewija się również w wierszu *Dziękuję sobie*, następującym po autotelicznym *Bio-ulu*. Dlaczego należy zaczynać od wdzięczności? Bo rozum kocha słowo dziękuję. Takie

hasło powinno widnieć na każdym opakowaniu ciastek, nad wejściem do każdej świątyni i oczywiście nad każdym... morzem. Jedno z mórz ofiarowała sobie bohaterka tego tomu: *ofiarowałam sobie morze / (...) / moje życie obfituje w cuda / i w doznania wdzięczności / które nauczyłam się nazywać*.

W utworze *To nie żyrafa*, korespondującym z dziełami Dalego oraz Grochowiaka, również dostrzegamy coś w rodzaju wdzięczności. W przeciwieństwie do obrazu *Płonąca żyrafa* wiersz Nowocień niesie ze sobą nadzieję: *kręgosłupy jarzą się namiętnością / i promienieją talentami / ziemskich pasażerów*. Odnosimy więc wrażenie, że ktokolwiek patrzy na nas z góry (z niebios, z obłoków lub ze słońca), dostrzega potencjał i mnogość emocji. Nasze pociągi (i te fizyczne, i emocjonalne) nie wyglądają stamtąd jak kropki, ale jak pełnoprawne pojazdy do podróży ziemskich – dla pasażerów pełnych namiętności i talentów. To wspaniały powód do wdzięczności, że ktokolwiek na nas spogląda z uśmiechem i miłością.

Jest też inny rodzaj dziękowania w tym tomie – bardzo osobisty i intymny, w którym to jednak nie poetka jest podmiotem lirycznym, a zadurzony w niej Kraków: *kocham posenny zamyśł wersów / które wystukujesz obcasami na Floriańskiej / (...) / napisałem ci wiersz / wyszeptał zadurzony Kraków*. W wierszu *Wyznanie Krakowa* całe miasto wzdycha na samo wspomnienie przemierzającej różne odcienie i epoki historyczne miedzanoczuptynej istoty, która – jak z biografii wiemy – przeprowadziła się do Hiszpanii. Z jakimi „Krakowami” i przy jakim espresso romansuje dziś poetka? Tego możemy dowiedzieć się z kolejnych wierszy.

2. Ukorzenie

Życie człowieka to wędrówka – zarówno dosłowna, jak i metaforyczna. Gdziekolwiek się nie znajdziemy, mamy jednak tendencję do tego, aby osiąść na dłużej: *słowo dom / ustawiam w nowym miejscu / zakamarki ożywiam nasionami / i uszczelniam biały płot*. Ukorzenie jest więc tym walorem, który powoduje, że zaczynamy nie tylko cieszyć się słońcem i piaskiem, ale również pobliskimi sklepikami, ławeczkami, zaułkami: *kreślę ważny symbol / na kamieniu i przetykam / by osadził się w trzewiach / ukorzenił serce*. Dzięki temu życie staje się jakąś ciągłością, wymianą energii w danym miejscu, i nie czujemy się jak robotnikowie na mapie. Podmiot liryczny wyznaje: *wpasowana w egzotyczny (kraj)obraz / obdarzam morze niewinną spowiedzią* (z wiersza *Osadzanie*).

W swoich wierszach autorka z hiszpańskiego wybrzeża oznajmia: *mam już twardego egzokarp / jestem pomarańczą* (z wiersza *Faza wzrostu*). Nie oznacza to jednak, że nie można do nowego życia, a przynajmniej

nowej jego części, zabrać ze sobą sadzonek czy potężnych roślin, które jak totemy chroniły nas w poprzedniej epoce. Temu zagadnieniu poświęcony jest wiersz *Zdjęcie Ani*. Poetka niejednokrotnie opowiadała o swoich bliskich związkach z mentorką, Anną Kajtochową. Nic więc dziwnego, że wyznaje swojej Mistrzynie: *teraz tworzę nowy gwiazdociąg / mistrzów i osób kochanych / znów otrzymasz honorową lokatę / w hiszpańskim salonie / wśród kolażu książek*.

3. Zachwyt

Uczuciem podobnym do wdzięczności, a jednak o nieco innych odcieniach, jest zachwyt. To kolejny fragment ściany miodnej Joanny Nowocień. Gdy myślę o zachwycie, pierwsze co mi (żartobliwe i ironicznie) przychodzi na myśl, to pytanie z *Ferdynarda*: „Jak nie zachwyca, kiedy ma zachwycać?” No właśnie! Możemy mieć pewność, sięgając po tom *Osobliwe stany odniesienia*, że autorka koncentruje się na sytuacjach i wartościach wzbu- dzających w niej zachwyt. Zrobimy wobec tego listę odniesień o takim nacechowaniu: *latarnia w Javea nawołuje kutry i jachty / (...) / żywioł uderza falami o pirs / a gdy woda się cofa / przybrzeżne kamienie śpiewają* (z wiersza *Śpiew kamieni*), jak również:

*w odrapanej kamienicy
wesoły gwar piwiarni
stare hiszpanki kołyszą wnuki
popijając mahou pogryzając churrosy*

*w południe
nieduże pueblo przysypia
ukołysane morzem
odurzone zapachem
kwiatów pomarańczy*

(z wiersza *Zza balustrady*)

Hiszpańskie sjezdy i bryza morza porwały mnie i, w śródziemnomorskiej ekstazie, zacytowałem więcej niż wypada w klasycznym posłowniu – wróćmy jednak do Polski. Tutaj też mieszkają zachwyty, chociażby w Łodzi, w której odbywają się liczne poetyckie zloty, gdzie: *z egzaminów w szkole teatralnej / miga kraciasta sukienka*. Na samo hasło „Łódź” wysypują się z bioserwerów / zawinięte jak cukierki chwile, liczne obrazy, przyjaciele z literackich kręgów, oraz współczesne symbole tego miasta (jak jednorożec). W ostatniej strofice autorka umieściła kliszę na temat pisa- śącego to posłowie: *w Łodzi mieszka Marcin / medytujący pomiędzy wierszami / duchowy brat*. Mogę tylko wyrazić wdzięczność i zachwyt (to aż dwie ściany poetyckiego plastra miodu), że na wieczność medytuję pomiędzy wierszami. To tak słodkie podziękowanie, jak tylko potrafią być tytułowe *Cukierki z Łodzi*.

(Dokończenie na stronie 18)

Heksagonalne komórki twórczości Joanny Nowocień

(Dokończenie ze strony 17)

Jest jeszcze inny odcień zachwyty. Zaczynamy się nie tylko miejscami, które żyją, ludźmi, którzy pośród nas się przechadzają, ale również tym wszystkim, co już odeszło w swojej podstawowej formie i żyje tylko dzięki pamięci współczesnych. A miejscem kultu duchowości i kultury w szerokim tego słowa znaczeniu jest muzeum. W wierszu o tym tytule odwiedzamy liczne wystawy i oglądamy fragmenty rzeczywistości, która już przeminięła: *ktoś trzymał rękę tego toporka / i zabijał wrogów / ktoś tkął mozołnie materiał / na koszulę z frędzlami / i grał ciałem płótno / rytualnych strojów* (z wiersza *Muzeum*). Refleksja, o tyle ważniejsza, że dotykając nas – współczesnych – pozostaje pytanie, czy ktoś inny sięgnie po nasze zdobycze jako ciekawostki z tamtych czasów, gdy nasza epoka przemienia.

4. Zakochanie

Od zachwyty przechodzimy do uczuć coraz bardziej intensywnych, do namiętności, które targają nami bez względu na miejsce, czas i okoliczności – mowa o miłości. Co można powiedzieć o zakochaniu u Nowocień? Podążając za metaforą zbudowaną wokół konnych stylów podróży, w wierszu *Prześcignąć wiatr*, dostrzegamy, że można dotknąć nowych wymiarów egzystencji w relacji z drugim człowiekiem. Wszystko jest tylko kwestią tego, że uczysz się ujeżdżać niepokorne ciało / a ono uczy się poznawać siebie i dopiero kochając siebie, otwierasz się na wspólne doświadczenia. Trzeba jednak pamiętać, że:

*wspólne galopowanie budzi demony
dziecięcą odwagę
i niewinną otwartość na nowe*

*z kłusu przechodzicie w cwał
a najczystsza część
doświadcza człowieka*

(z wiersza „Prześcignąć wiatr”)

Innym przykładem zakochania, również zdającego się trwać wiecznie i wręcz zapisanego na kartach mitologii, jest relacja łącząca postaci w wierszu *Motyły*. Dowiadujemy się, że odnalezienie w życiu osoby, która jest nam pisana, jest jak odkrycie ziemskiego raju (w trzynastym niebie wg mitologii Azteków). Można więc wysnuć wniosek, że istnieją tacy ludzie, którzy po prostu muszą się ze sobą

spotkać, i dopiero wtedy można *śpiewać jedynym głosem i szymbować w wysokie nieba*.

5. Oświecenie

Gdy już głowa poetki upije się magicznym stanem zakochania, czy przekonania o tym, że spotkało się tego jedynego, właściwego człowieka na swojej drodze, wtedy może nastąpić wspólny rozwój. Wówczas Nowocień buduje piątą ścianę swojego heksagonu, a imię jej Oświecenie. Dostrzegamy niejaką dysproporcję w budowie równobocznego plastra miodu, lecz niczemu to nie szkodzi. Przecież nie poruszamy się w świecie geometrii, ale poezji i ulotności, w którym wszystko bywa płynne, tak jak płynny jest sam miód.

Na czym polega ta dysproporcja? Ogólnie rzecz ujmując, poetka większość swojej twórczości (nie tylko zawartej w tym tomie) poświęca sprawom duchowym. Kwestiom związanym z rozwojem osobistym, dociekaniem prawdy, słuchaniem przodków, rodowego echa – czego przykłady możemy odnaleźć także w poprzednich dziełach, takich jak chociażby tomik *Czas na nowy cień* (Kraków 2022). Zdecydowanie mniej w wierszach autorki jest tak zwanych spraw przyziemnych, a więcej pytań o kosmos czy sens istnienia. Może to dobrze, bo ta ściana, najbardziej krucho za wszystkich w naszym wędrowaniu po ziemi, wydaje się u niej najbardziej soczysta i solidna. Dlatego też dzielnie wspiera takie obszary, jak zakochanie czy wdzięczność.

Co o oświeceniu mówią same wiersze Joanny Nowocień? Kierują nas w stronę duchowości i mentalności innej niż ta, którą poznajemy w codziennym życiu, w szkole, w domu czy kościele. Prowadzą do uznania w sobie wewnętrznego mistrzostwa – ba, idą jeszcze dalej i pomagają odnaleźć w sobie trzech mistrzów. Kim oni są i jakie mają funkcje? Najlepiej, aby na to pytanie odpowiedział sobie każdy indywidualnie.

Duchowość ta dociera do najgłębszych warstw skrytych przed wzrokiem. Poetka w wierszu *Trzy pytania* określa je słowami: *dotarłeś do swojego oceanu / ultramaryna obmywa stopy / za tobą ciemne żłobienia / na piasku coraz płytsze / mniej znaczące*. W innym utworze (*W oku Boga*) podsumowuje: *dajesz się prowadzić / coraz częściej // bywasz belką w jego oku / ale to twoje oko*. Z oświeceniem zawsze idzie w parze pojęcie umierania i tego, jak reagujemy na nie w naszym życiu. Niestandardowe dla europejskiej symboliki śmierci, rozkwitłej szczególnie w średniowieczu (*Danse macabre*, *Rozmowa mistrza Polikarpa ze Śmiercią* czy *misteria o śmierci i życiu wiecznym*), są wiersze *Siostra ulotna* czy *Różowy przewoźnik*. Przypominają o ulotności i przemijaniu w sposób otulający, łagodny i wskazujący, że śmierć nie istnieje – bo nie ma jej kiedy istniejemy, a kiedy nadchodzi – nie ma już nas. Można by więc rzec, że mijamy się z nią w przejściu. Nie służy też temu, by straszyc: *rozpościera różowe skrzydła / by wybarwić powietrze / seraficzną poświatą i ukojeniem oraz rozumie że pojęcie śmierci / wrosło czernią / w ludzkie umysły*.

Odkrycie wewnętrznego mistrzostwa prowadzi do dalszej eksploracji – to tylko początek podróży. Jakie mogą to być odkrycia? Zacytuję kilka najważniejszych fragmentów z wybranych wierszy:

*obecność i czucie
rozpływają się we wnętrzu
roztopiając mnie
w nie-wiedzeniu
w byciu miłością
w nienazwanym
bo jestem nienazwana*

(z wiersza *Jam*);

*lecz kim jest ten JA
kto doświadcza człowieka
przebijając grubą materię umysłu
krzyczy do ciebie chorobami
rozdaje czekoladki*

*kto uwalnia traumy
podseptuje poezję
podsuwa narzędzia
by odmrozić połączenie
ciała z jaźnią*

(z wiersza „Przypominanie”)

Okazuje się, że gdy zgłębimy temat śmierci, dopiero wtedy (paradoksalnie) możemy oddać się tematowi naszych narodzin, czyli innymi słowy: najpierw załatwiamy teoretyczny koniec, który się nie wydarzył, by dotrzeć do tego, co faktycznie już miało miejsce w czasie i przestrzeni. Jeśli przyjmiemy taki koncept życia, to musimy bardzo dokładnie poprzestawiać klocki różnych zdarzeń, by zrozumieć, gdzie leży sedno i osiągnąć szczęście, czymkolwiek dla nas ono jest. Rozumienie szczęścia czy jakichkolwiek innych wartości uniwersalnych może podsumować cytaty z wiersza *Małe i Wielkie*: *moje małe w i e m / wie że mieści się / w bardzo Wielkim*.

6. Rozliczanie

Docieramy do najgłębszych warstw – do rozliczania. To również istotny motyw w twórczości autorki. W tym tomie rozliczenia dotyczą rodziny (*Siłaczka*), formacji pokoleniowej (*Kiedys, Powrót do lekkości*), miejsc, w których byliśmy (*Pojednanie z Augustowem, Niezapomniany Augustów*): *obwinałam to miasto / za trudne dorastanie / (...) // teraz wracam / jak do przyjaznego domu / który wykarmił poezję / i umocnił kręgosłup i relacji, jakie budujemy (Niewinność)*. Po samej ilości wymienionych tytułów również można stwierdzić, że szósta ściana heksagonalnej komórki twórczości opiera się na solidnych fundamentach i obfituje mnogością przeżytych: *kobiety z mojego klanu / unoszą się niczym czajki / szybując nade mną / w bezszalestnym przyzwoleniu // wnikać w jedność ich oczu / przepływam łzami / przez pepowinę rodu / i zdeptane chusty*. Znajdujemy tutaj wszystko to, co spotkało w życiu nas lub naszych bliskich (lub przodków, którzy są naszymi bliskimi w rodowym wyobrażeniu) i zatrząskujemy drzwiami za zmarłymi rodzicami: gdy umie-

ra drugi rodzic / czujesz poruszenie wśród pokoleń / jakby silny przeciąg / zatrzasnął wszystkie drzwi.

W ten sposób zamyka się konstrukcja doskonała – heksagonalna komórka twórczości. Ktoś, kto przeczytał tomik, mógłby jednak zapytać: gdzie podziała się proza poetycka ze zbioru oraz wiersze jej towarzyszące? Dla niej przygotowałem osobne miejsce, które jednak stanowi o całości kompozycji. Jeśli twórczość poetycka jest komórką, to opowiadania z nich złożone są niczym plasty miodu. Formy prozatorskie, które dla Nowocien nie stanowią najczęstszego środka literackiego wyrazu, powinny podsuwać nam skojarzenie miodnej uczy.



Czytanie tych krótkich form warto zacząć od zrozumienia wiersza otwierającego tę zagadkową część książki – *Ramka na śnienie* (dedykowanego mężowi). W tym utworze mamy do czynienia z materią snu – kapryśnego i wybierającego sobie konkretnego śniącego z powodu koloru otaczającej go ramki. Można to potraktować czysto prozatorsko – ot, my też mamy swoje gusta (w różowej sukience nie wyjdę na scenę, o nie!), a zatem i sny mogą mieć swoje upodobania. Można też pomyśleć, że błękitna ramka to emitowane przez współczesne urządzenia z ekranem niebieskie światło – a przecież ekspozycja na nie utrudnia chociażby proces zasypiania.

Gdy jednak uda się już zasnąć, przyjąć mogą do nas rzeczy niezwykle, śmieszne i dziwne. Mogą się śnić nam symboliczne role, w które wchodzimy w życiu – *był zieloną półką na pomidory / lecz dyskretnie zmienił kolor; Byłem górnikiem, strażnikiem podziemnych korytarzy, wędrownikiem ciemności; Byłem zaledwie iskrą; Byłem tęczą; Byłem elegancką oprawką do szminki*. Choć sny takie zdarzają się rzadko, a role są komiczne lub tragiczne, to przyjmijmy, że są to bajki – przestrogi ze świata duchowego, pokazujące nam w sposób prosty i zabawny, jak zachowujemy się, wchodząc w określone relacje. Kto

przyjmuje rolę kata, a kto ofiary? Kto układa się ze wszystkimi i każdemu, niezależnie od swojego komfortu, stara się uprzyjemnić życie? Bajki to wiedzą. Sny to wiedzą. Nasza podświadomość to wie.

Nasze miodne dywagacje wieńczy delikatna polewa w postaci wiersza *Niepodzielność*. Mówiący w wierszu głos przypomina, że jedni dla drugich jesteśmy narzędziami, ale nasze zachowania i próby wychowywania innych spełniają na niczym, bo człowieka nie da się ustawić: *wyżej niż / dalej bliżej / czasem ratujesz / zapominając / że każdy jest już ustawiony / na swoim miejscu*. Dlatego najlepiej, w moim odczuciu, skupić się na budowaniu własnych heksagonalnych światów odniesień – w których nasze wartości korespondują z życiem i tym, co mamy w nim do zrobienia. Wtedy wszystkie klocki zaczynają wchodzić na właściwe miejsce i sami zaczynamy odczuwać, że coraz dalej nam od ustawiania innych. Bo sami ustawiamy siebie – we właściwej płaszczyźnie względem kosmosu.

Rozłożyliśmy więc poetycki plaster miodu Joanny Nowocien na czynniki pierwsze. Zajrzeliśmy do „Bio-ula”, w którym powstają frazy, gdzie każda literacka pszczoła zna swoje miejsce i rolę. Jest to świat pełen świeżych metafor i poetyckich „skrzydlatych słów”. Prześledziliśmy drogę literacką pisarki i nauczyliśmy się nowych rzeczy o świecie i sobie samych. Ten tomik jest potwierdzeniem, że autorka od lat podąża własną, nigdy wcześniej nie napisaną ani nie wytyczoną artystyczną ścieżką. Książkę *Osobliwe stany odniesienia* polecam wszystkim, którzy lubią pełną melodię i kwitnącą niczym hiszpańskie pomarańcze w porze przedwiośnia. Poecie życzę kolejnych wspaniałych łąk lunarnych i długiego panowania na tronie pszczelego królestwa.

Marcin Kurcbuch



Dialog prawdy i poezji

Kolejny tom **Anny Andrych** jest, jak zwykle u tej autorki, fascynującą poetycką opowieścią. Opowieścią złożoną, wielowątkową i pełną symboliki. Napisane klarownym, precyzyjnym językiem teksty łączą w sobie cechy epiki, liryki i dramatu. Opis i liryczny komentarz przemienia się czasami w mikro fabułę, opowiadającą czyjś los. Dominantą wyboru są dzieje jednostek i zbiorowości, postrzegane nie tylko z perspektywy faktów, ale przede wszystkim w optyce psychicznych doznań, również tych nieświadomych i archetypowych. Przy tym wszystkim ważne jest wychodzenie na brzeg z chaosu zbiorowej oraz

indywidualnej nieświadomości i integrowanie wewnętrznego świata, co sygnalizuje już tytuł. Wychodzenie na brzeg w symbolice Carla Gustawa Junga oznacza rozpoznanie nieświadomych pragnień i lęków. I o owym procesie indywiduacji traktuje najnowszy tom **Anny Andrych**.

Poetka opisując traumy dotyczące społeczności albo jednostkę, wspomina również o zagrożeniach współczesnego świata i wtajemnicza nas w proces indywiduacji i integracji. Liryczna narratorka jest obserwatką i krytyczną komentatką oraz przewodniczką, dążącą do wyzwolenia duszy poprzez dialog prawdy i poezji. Tak bowiem postrzega misję tworzenia.

*Poeci cenią wolność
posiadają mądrość intuicji
obdarowują
nie z pragnienia zysków
a dla przekazania w wierszach
prawdy i praw miłości
ich słowa bywają siłą
która ocala*

Jednym z wątków obecnych w zbiorze są historie twórców, którzy obdarzyli nas swoją sztuką, zrodzoną częstokroć z bolesnych doświadczeń i osobistych dramatów. **Anna Andrych** nie idealizuje artystów, nie usprawiedliwia, ale też i nie oskarża. Jest im wdzięczna za dar ich pracy. Wie, że ich dzieło było najlepszym co umieli dać innym. Pojawiają się nazwiska szczególnie bliskich jej twórców: **Christine Lavant**, **Stanisława Grochowiaka**, **Vesny Parun**, **Kory**, **Ozzy’ego Osbourne’a**.

Najwyraźniej w ich utworach odnajduje coś szczególnego i autentycznego, coś pięknego. Przywołuje ich w różny sposób. Do wokalisty **Black Sabbath** pisze poetycki list, który jest hołdem i podziękowaniem. Wspomina przy tej okazji inne swoje muzyczne fascynacje. Podobny liryczny list pisze do **Kory**, nawiązując przy tym do swoich ulubionych piosenek rockowej trubadurki. Natomiast twórczość i postać **Vesny Parun**, chorwackiej poetki, przypomniane są wierszem, w którym podmiot liryczny utożsamia się z nią. O **Stanisławie Grochowiaku** pisze w utworze „Marzenie nosorożca”, nazywając poetę z serdecznością **Stachem**. Rysuje jego sylwetkę na tle parku i tworzy miniaturową scenkę, w której **Stach**, czytając **Holderlina**, przygląda się bawiącym dzieciom i przysłuchuje ich rozmowom z matkami. Kiedy jedno z dzieci pyta, dlaczego nie ma włosów, odpowiedź jest poetyckim skrótem burzliwego życia czołowego polskiego turpisty.

*coż za dużo było szaleństwa w życiu
bujania w obłokach
potem kończąc czytanie usłyszysz
zejdź z huśtawki*

Twórczość i osoba **Christine Lavant** jest najczęściej wspominana w omawianym tomie. Autorce „Zapisków z domu wariatów” **Anna Andrych** poświęciła dwa otwierające

(Dokończenie na stronie 20)

Dialog prawdy i poezji

(Dokończenie ze strony 19)

zbiór utwory. Także w innych tekstach nawiązuje do twórczości i życia autorki Zapisków. Na przykład we wspomnianym wcześniej lirycznym liście do Ozzy'ego Osbourne. Można więc domniemywać, że postać oraz twórcze przesłanie Christine Lavant i jej dramatyczna biografia są dla twórczyni „Wychodzę na brzeg” ważnym punktem odniesienia. Tytuły wierszy poświęconych austriackiej pisarce są znaczące: „Świadomość” i „Świadomość 2”. Znamienne jest również, że otwierają one tom i że w drugim tekście pojawia się fraza: wychodzę na brzeg, która stała się tytułem tomu. Frazę, którą, jak już o tym wspominałam, odsyła nas do jungowskiej indywiduacji. Składając hołd pisarskiemu świadectwu Christiny Lavant i empatycznie wnikając w tragizm jej zmagania z losem i własnymi emocjami, narratorka wybiera inną drogę. Chce żyć pełnią istnienia, zintegrowana ze sobą.

*chciałam z pazurem dopisać post scriptum
jednak oranie słów przekornie
to mozołna praca brakuje oddechu
jakby woda zalewała płuca*

wychodzę na brzeg

*nie raz penetrowałam ten kamienisty pejzaż
gdzie najmniejsza zieleń usychała
od przemijania
kiedy próbowałam zapuszczać korzenie
w minione gorzkie lata albo teraźniejszość
nie mogę pozwolić by to wszystko stało się
truczną przyszłości*

Sposobem na owo bycie w pełni sobą, na zintegrowanie swojego wewnętrznego świata, jest pisanie, które nie jest terapią lecz drogą do zrozumienia siebie i świata, do samookreślenia i wytyczenia ścieżek i granic. Dlatego kolejnym kluczowym motywem zbioru jest opisanie ludzkich relacji i miejsc związanych z biografią autorki. Utwory mówiące o bliskich, którzy odeszli, o domach, których już nie ma, są nie tylko wzruszającą peregrynacją w przeszłość, ale również metodą na radzenie sobie z przemijaniem i formą uporania się z bolesnymi doświadczeniami minionego czasu.

*osoby najbliższe i przyjaciele
których już nie ma
chodzą na palcach w naszej pamięci
by pozwolić nam w spokoju
żyć dla innych*

Wędrowka duchowa w czasie i w przestrzeni to kolejny, konstytuujący tę poetycką kompozycję, element. Trzy plany czasowe przenikają się. Kontemplacji oraz refleksji podlegają przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Opisywane są indywidualne i zbiorowe

doświadczenia, nadzieje i lęki. Opisywane przestrzenie nabierają wyrazu symbolicznego. Stawy, jeziora i morze reprezentują nieświadomość. Rzeka to symbol zachodzących zmian. Wspinaczka w górach oznacza trud samorozwoju, ale też archetyp celu i transcendencji. Ważni są także towarzysze wędrowki, ludzie bliscy i przypadkowi. Ich egzystencja i postawy życiowe są opisywane z zewnątrz, poprzez opis i komentarz, albo od środka, poprzez wyznaczenie i poetykę roli. Ludzkie życie jawi się w tej poezji w dynamice dialektycznych przeciwieństw. Świadomość – nieświadomość, alienacja – socjalizacja. Jest ono grą i syntezą, ciągłym stawaniem się, wieczną przemianą, w której wszyscy dźwigamy swoją historię i bagaż pozytywnych i negatywnych doświadczeń. Nikt też nie jest wyizolowany z historii, którą tworzymy jako zbiorowość. Wpływamy na siebie i ulegamy czynnikom społecznym. Świat, który razem budujemy, powinien więc być otoczony naszą wspólną troską. Bo jest wspólnym dobrem. Poetka pisze również o zagrożeniach współczesności, o odczuwanych przez nią i przez wielu z nas obawach i lękach. Najbardziej martwi ją postępująca dehumanizacja obecnej cywilizacji, a najbardziej przeraża realne zagrożenie wojną.

*jest piwnica która w każdej chwili
może wypełnić się
gruzem
(...)
nie ukryję się w niej
ale mogę wyprowadzić
z bagażem na rowerze
do parku obok
może celem ataku wroga
nie będą drzewa*

Poezja Anny Andrych ukazuje lęki o losy naszej ojczyzny i narodu, ale także nadzieje i poczucie patriotyzmu, również tego lokalnego, co czyni ten tom bardzo osobistym i szczerym w wymowie.

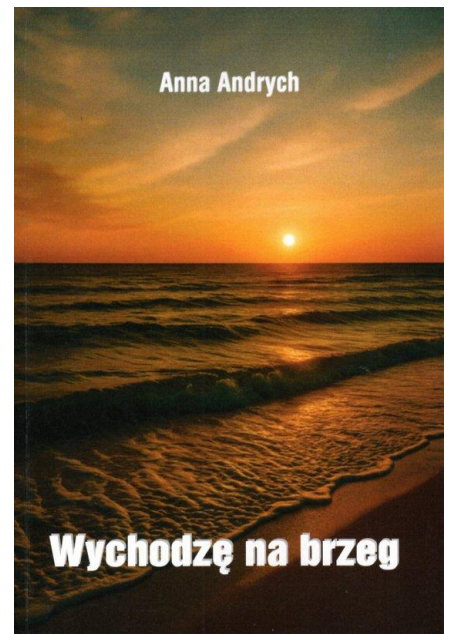
Przedstawia przemienność ludzkiego losu i proces dążenia do pełni, do ocalenia psychiki i życia.

Posługując się lapidarnym i zmetaforyzowanym językiem, tworzy głęboko humanitarną opowieść, ukazującą egzystencję ludzi z różnych perspektyw. Lirycznie, groteskowo, a nawet onirycznie unaocznia nam, jak to co świadome i nieświadome tworzy naszą rzeczywistość i jak bardzo sztuka wspiera proces indywiduacji i stwarzania siebie w egzystencji, która jest wieczną metamorfozą i w której przeznaczenie i przypadek są awerssem i rewersem ludzkiego fatum.

Ostateczność i ulotność naszego życia i naszej wolnej woli, uwikłanej w uwarunkowania osobiste, społeczne i historyczne jest, jak sądzę, wiodącą problematyką tego niezwykłego tomu. Ludzka dusza wciąż wyłania się z chaosu, dąży do pełnego istnienia i rozumienia samej siebie. Każde nowe doświadczenie trzeba przyswoić, przepracować, nazwać i opisać dla siebie i dla innych, by pomóc nam odnaleźć własną prawdę. Anna Andrych, świadoma odpowiedzialności poetyckiej mi-

sji, jej radosnej i mrocznej strony, wypełnia kolejnymi utworami to poetyckie powołanie. Lektura zbioru jest budującym intelektualnie przeżyciem. Fascynującym wejściem w wielorakość doświadczeń, perspektyw i odczuć. Łączy uniwersalność z osobistym świadectwem. Jest bogata w możliwości interpretacyjne, co czyni moją recenzję kolejnym z wielu odczytań. Myślę, że ta książka jest jedną z tych, o których wciąż się myśli i do których się wraca.

Daniela Ewa Zajączkowska-Hynas



Anna Andrych, *Wychodzę na brzeg*. Redakcja, słowo wstępne, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębowski. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: z archiwum autorki. Wydawca: Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, Żelów 2025, s. 82.



Rys. Stefan Rusin

Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (237)



Fot. Andrzej Dębowski

Siła oddziaływania mediów sprawia, że w naszych czasach wzrasta problem płci prowadzący do tzw. społeczeństwa genderowego. Wyróżniamy się w świecie przyrody mocnym poczuciem płciowości, mimo że w kulturze europejskiej nasyconej chrześcijaństwem, silnie oddziałują poglądy moralne narzucające zachowania z pozoru pozbawione nuty erotyczno-seksualnej. W seksualności prof. Antoni Kępiński odkrył realizację tęsknoty, by wyjść poza granice własnego ja, by zespolić się z kimś.

Płeć nie decyduje o człowieczeństwie. Ale odmiennosc kobiecego i męskiego przeżywania rzeczywistości jest wyrazista. Dlatego też związki homoseksualne wydają się głębsze niż heteroseksualne w sensie możliwości duchowego porozumienia. Ponieważ w XXI wieku kobiety niemal na wszystkich polach działają na równi z mężczyznami, więc dokonuje się dużego uproszczenia stwierdzając, że są takie same.

Niemożliwy w pełni do przewidzenia jest typ kobiety w kolejnych wiekach. Do tej pory stwierdzana była większa potrzeba miłości w świecie kobiet. W każdym razie, skoro mowa również w literaturze naukowej o społeczeństwie genderowym, to znaczy, że wzrasta w naszych czasach rola płciowości. Jednocześnie już od dawna obserwuje się tendencje do upodabniania się w sferze mody i w sferze obyczajów kobiet do mężczyzn. Łatwo zakorzeniła się tendencja wśród kobiet, by zacierać ślady kobiecości na przykład przez noszenie spodni. Również język dziewcząt niepokojąco jest nasycony słowami wulgarnymi, by dorosnąć tą drogą, jak sądzą, do świata chłopów.

Rodzimy się jako zadatek człowieka, bo- wiem długi czas pozostajemy w świecie doznań biologicznych i zdani jesteśmy na opiekę dorosłych. Edukacja dotyczy przede wszystkim sfery intelektualnej, ale też wynosimy z domu jakieś elementy światopoglądu wyznawanego przez otoczenie. Znaczna część osób, a zwłaszcza kobiet, powiela w swoim życiu obserwowane obyczaje i zasłyszany światopogląd. Funkcjonuje pogląd, że nie należy

istnieć inaczej niż bliskie nam otoczenie. Trzeba pamiętać o zniewalającej sile tradycji. Fundamentalne prawdy życiowe zyskuje się w ciągu własnego życia i dlatego też wiele kobiet nie wie o tym dostatecznie wcześniej, że należy umieć odnaleźć w sobie oparcie, zamiast poszukiwać go w mężczyźnie, a następnie w dzieciach. Uzależnianie się od kogoś – choćby najbliższego – nie czyni kobiet wewnętrznie wolnymi. Wolność to poczucie, że jest się panem swojego losu. To poczucie i decyzyjność, że będzie się tym, czym siebie się uczyni. Poczucie wolności, nie zawsze wystarczająco rozwinięte w kobiecym świecie, jest potrzebne, by osiągać to, co ma znaczenie dla określonej osoby. Obserwuje się, niestety, procesy samozniewolenia w świecie kobiecym, bowiem wolność wymaga nie tylko wiedzy o możliwych wyborach. Wymaga także wyobraźni, odwagi oraz zdolności do oporu wobec silnych w nas tendencji przystosowawczych. Elementy pewnego zniewolenia obyczajowego kobiet, a przede wszystkim samozniewolenia – kobiety przenoszą na kolejne pokolenia, bowiem one je wychowują. Nie jest przypadkowe, że Isadora Duncan sformułowała w swojej autobiografii pytanie czy kobieta może być artystką, bowiem sztuka jest zachłanna. A kobieta, jej zdaniem, gdy kocha – wszystko odda życiu.

Ta postawa uzależnienia od kogoś dochodząca do głosu spontanicznie w świecie kobiet – staje się źródłem cierpienia gdy dochodzi do rozwodu, jak również gdy dorosłe dzieci usamodzielniają się i opuszczają dom rodzinny. Literatura piękna wyraża pogląd, że mężczyźni nawet kochając, pozostawiają sobie jakieś obszary większej niezależności od drugiej osoby. W kobietach za mało jest buntu wobec nacisków, by przystosowywać się do społeczeństwa. A należy zauważyć, że duża liczba osób reprezentująca jakieś stanowisko, nie jest dowodem jego prawdziwości. Zapewne wpływ kobiet na kolejne pokolenie, a także na mężczyzn w nich zakochanych, sprawia że media poświęcają wiele uwagi kobietom starając się zaszczepić modę w każdej dziedzinie życia. Służą temu reklamy, bardzo liczne pisma skierowane do kobiet, audycje telewizyjne łącznie z serialami, radio. W rezultacie zamiast poszukiwać takiego sposobu życia, by w pełni akceptować siebie przez siebie, wiele kobiet pragnie przede wszystkim akceptacji innych. O tym, że tendencje przystosowawcze nie są twórcze pisał wiele w swoich dziełach wspominany już prof. Dąbrowski. Z jego teorii dezintegracji pozytywnej wynika nakaz pozytywnego nieprzystosowania do świata. To rewolucyjne pojęcie jest wyrazem dążenia do rozwoju właściwości indywidualnych nawet za cenę przezwyciężania, bądź ignorowania oporu otoczenia.

Pozytywne nieprzystosowanie nie ma nic wspólnego z egoizmem lecz z wyborem własnej drogi duchowego rozwoju i uznania poznanych w sobie pasji za drogowskazy. Jest więc sposobem życia odległym od samozniewolenia wyrażającego się w poświęcaniu się dla mężczyzny lub dzieci. Dla przejrzystości dodam, że według Kazimierza Dąbrowskiego jedynie trzy przejawy nieprzystosowania

należy uznać za negatywne. A mianowicie: alkoholizm, narkomanię i lekomanie oraz drogę przestępstw.

Wyzwolenie z nacisków środowiska, które chce urobić jednostki poddając je presji obyczajowej i światopoglądowej, wymaga pomocy w postaci drogowskazów. Nie ma to nic wspólnego z podporządkowywaniem się urzędowym autorytetom, bowiem ich funkcje odbierania wolności wykazali już myśliciele epoki renesansu. Pomocne są natomiast – nie ograniczające wolności – wzory życia postaci historycznych, jak również bohaterów literackich. Dlatego też należy ubolewać nad zamianą nakazu czytania wybitnych dzieł na rzecz poznawania ich streszczeń, czyli bryków.

Funkcjonuje obecnie pogląd o jedności psychofizycznej człowieka, który zastąpił dawną koncepcję dualistyczną. Ma ona nadal prawo obywatelstwa ale na gruncie religii. Otóż uznanie jedności psychofizycznej człowieka prowadzi do ujmowania seksualności jako czynnika psychofizycznego. Nasze społeczeństwo jest nietolerancyjne dla odmienności obyczajowych o ile są one jawne. Funkcjonuje natomiast milcząca zgoda na podwójną moralność, która została ostro oskarżona przez Gabriellę Zapolską i Boga Żeleńskiego. Ta ostra krytyka nie straciła na znaczeniu.

Trzeba brać pod uwagę, że miłość erotyczna – obwarowana obyczajowo i prawnie rozmaitymi restrykcjami – stanowi zarzewie rozmaitych rodzajów twórczości, potęguje wiarę w siebie, wzmacnia siły psychiczne. Potęguje także siłę doznań i przezwycięża osamotnienie. Wbrew pozorom ma jeszcze większe znaczenie w wieku sędziwym, bowiem niweluje lęk przed kresem życia. Te restrykcje w większym stopniu dotyczą wciąż kobiety niż mężczyzn.

Należy się uczyć umiejętności akceptowania tego, co w nas jest autentyczne. Różnice biologiczno-psychiczne między dwiema płciami są nieredukowalne. Traktowanie seksualności jako środka służącego do przedłużenia gatunku byłoby jej okaleczeniem. Ale mimo istotnego miejsca seksualności w strukturze osobowości, nie stanowi ona miernika człowieczeństwa. Zważywszy brak tolerancji w naszym społeczeństwie, należy podkreślić, że wartość człowieka jest niezależna od skłonności seksualnych. Kobiety mające skłonności homoseksualne znajdują więcej trudności w życiu społecznym niż kobiety heteroseksualne.

Pomimo prawnego zrównania obu płci, dyskryminacja kobiet, a przynajmniej pewne jej przejawy, wyraźnie się zaznaczają. Są zawody w których jest to niezauważalne, by wymienić na przykład malarzy, poetów i aktorów. Ale w świecie naukowym, by podać ten przykład, płeć kobieca stanowi obciążenie. Zresztą w bardzo wielu instytucjach chętniej mężczyznom proponuje się funkcje kierownicze niż kobietom.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(82)

19 lipca 2020

Od rana piękna pogoda. Chmury są wysoko, choć trochę duszno. Noc przespałem bez brania środków nasennych i bez melisy aż do 4.00. Poleżałem jeszcze godzinę. O 5.00 już tam zacząłem coś robić, odebrałem pocztę, przejrzałem wiadomości z Internetu, trochę poczytałem notatek Cezarego Łukomskiego i o 6.00 włączyłem w kuchni radio z wiadomościami oraz zacząłem skrobać ziemniaki do obiadu. Potem przenieśliśmy się do łazienki i zacząłem ranną toaletę. Ledwo z niej wyszedłem, gdy wstała Halinka i musiałem ustąpić jej miejsca, a sam zająć się przygotowaniem śniadania, które zjedliśmy, gdy wróciliśmy ze mszy. Ponieważ pogoda się nie zmieniła, planowaliśmy pojechać do Ciemnego Kąta. Ale Halinka jak zawsze przedtem zajęła się przygotowaniem obiadu, by po powrocie do domu mieć wszystko gotowe. Trwa to zawsze około pół godziny. W tym czasie oglądałem telewizję albo coś czytam. Na dospanie było trochę za mało czasu.

W lesie na drodze było mniej kałuż, więc komary tak nie gryzły, ale i tak nie było łatwo spacerować. Pies Kumpel, przybłęda, dokarmiony przez Halinkę towarzyszył nam na spacerze, ale zawsze nas wyprzedza i po drodze wszystko obwąchuje, czy nie ma dla niego jakiegos zagrożenia. Bywa że czasami odeskoczy od nas ze 100 metrów i znika w lesie, by za parę minut znów się z niego wynurzyć i dalej biec przed nami.

W domu byliśmy po 12.00. Halinka zajęła się gotowaniem, a ja włączyłem telewizję i pijąc zimne piwo z lodówki obejrzałem na „Historii” filmy przyrodnicze: o ptakach i ich wielkich wędrówkach, liczących setki a nawet tysiące kilometrów, do miejsc lęgowych „Podniebne loty” i niewielkim stadzie „Dzikich koni z kanadyjskich gór”, które uchowały się z dawnej populacji liczącej 1 mln sztuk. Zostało ich tylko kilkadziesiąt i nadal są zagrożone z powodu niekorzystnych warunków i polujących na nich drapieżników, przede wszystkim wilków i niedźwiedzi. Udało mi się także na TVP 1 obejrzyć „Błękitną Planetę”, seria II (cz. 1). Jak się okazuje zwierzęta najbardziej dogodne warunki do życia znajdują na północy i południu, blisko Arktyki i Antarktydy, gdyż tam przyroda zachowała swoją dziewiczość, a wpływ człowieka jest stosunkowo niewielki, jedyny problem to ocieplenie klimatu, który stwarza problem ssakom przyzwyczajonym do odpoczywania na lodzie, jak np. morsy czy polowania na foki pod lodem przez białe niedźwiedzie.

Po tej filmowej dawce poświęconej przyrodzie poszedłem się zdrzemnąć. Zasnąłem twardo i spałem prawie do 16.00.

Dziś zmarł profesor dr hab. Franciszek Ziejka, przez dwie kadencje rektor Uniwersy-

tetu Jagiellońskiego, historyk literatury, specjalizujący się głównie w Młodej Polsce, ale napisał też parę książek dot. historii Krakowa czy historii ruchu ludowego, przede wszystkim jego początków. Był uczniem prof. Kubackiego. Kończył liceum w Radłowie, niewielkiej miejscowości k. Tarnowa. Jest przykładem uporu i szlachetności w dążeniu do wyznaczonego celu. Na jego karierę naukową nie miały wpływu ani pochodzenie, ani ukończone szkoły. Jego rodzice byli rolnikami. Był chłopskim synem o ludowych tradycjach. Dlatego na studiach należał do ZSL-u. Dodam tylko, że obok paru pracowników naukowych należała do niego garstka studentów, którzy wywodzili się z rodzin z przedwojennego czy Mikołajczykowskiego PSL. Zapamiętałem go jeszcze z czasów, gdy mieszkał razem z nami w akademiku na ulicy 3 Maja, obok Jagiellonki i Muzeum Narodowego, już jako asystent stażysta. Ponoć można go było czasami spotkać także kopiącego na Błoniach piłkę, ale tylko tyle. Nie widywałem go jednak w klubach studenckich czy na potańcówkach. Prowadził w akademiku samotnicze życie i był raczej skupiony na pracy naukowej. W czasach studenckich kontakt miałem z nim tylko raz, gdy jako asystent przyszedł do nas na Gołębią, by dokonać podziału na grupy seminaryjne. Spóźniłem się prawie godzinę, bo źle ją zapisałem czy też zapamiętałem. Chciałem jak większość moich Olegów i koleżanek zapisać się na seminarium do prof. Wyki, ale niestety wszystkie miejsca były już zajęte. Ziejka zaś, jeszcze magister, był twardy i nieustępliwy. Nie i koniec! Zaproponował mi tylko tych profesorów i te seminary, gdzie były wolne miejsca. Nie dawał żadnych innych możliwości. No i w końcu trafiłem do prof. Dłuskiej. Niestety, był to zły wybór, nie ze względu na panią profesor, dobrego człowieka, ale sposób prowadzenia zajęć seminaryjnych. Była się potem przekonałem, zbyt liberalna. Zajmowaliśmy się różnymi sprawami związanymi z poezją, tylko nie pisanie prac dyplomowych. Nie wymagała od nas nic. Byliśmy jednak za młodzi na taką wolność i samodyscyplinę. Niestety.

20 lipca 2020

A tak pożegnało prof. Franciszka Ziejkę nasze stowarzyszenie:

„Koleżanki i Koledzy!

Dziś w nocy odszedł od nas nasz Kolega z Żaczka, Członek Założyciel, Członek Honorowy Stowarzyszenia Mieszkańców Żaczka – pomysłodawca utworzenia Stowarzyszenia prof. dr. hab. Franciszek Ziejka. To za Jego kadencji jako Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego dojrzała myśl utworzenia oraz zostały stworzone warunki powstania naszego Stowarzyszenia.

Żegnamy Cię Kolego i Przyjacielu. Jesteśmy dumni, że mogliśmy mieszkać z Tobą w czasie studiów, a także, że mogliśmy mieszkać w domu studenckim, w którym Ty mieszkales kiedyś. Mile wspominamy chwile spędzone z Tobą na spotkaniach organizowanych przez Stowarzyszenie.

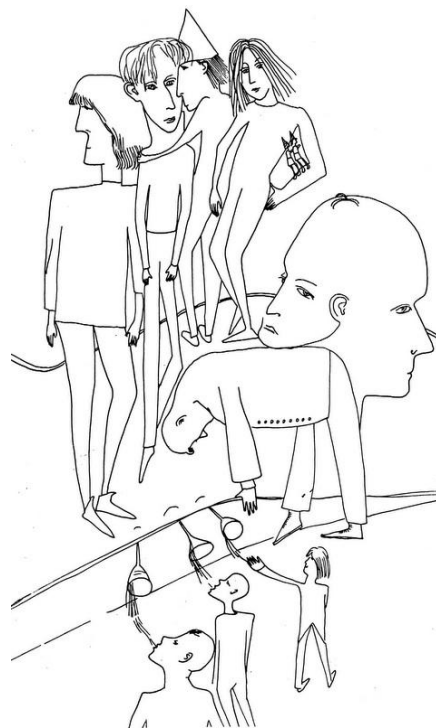
Będzie nam Ciebie bardzo brakowało. Rodzinie i bliskim Pana Rektora składamy serdeczne kondolencje.

Dziś piękny, słoneczny dzień. Spędziłem go trochę w garażu na porządkach. Wchodziłem kilka razy do malucha. Dlatego boli mnie w krzyżu. Na giełdzie także niepamiętne od tygodni wzrosty cen akcji, ale pewnie nie utrzyma się to zbyt długo. Pewnie to taki letni czy wakacyjny wyskok by pobudzić ludzi do hazardu. Przecież giełda żyje w uśpieniu od dłuższego czasu. Nuda straszna! Może i ją pobudzą, ale czy wystarczy sił, by utrzymać byka? Niewiele ludzi już gra na giełdzie. Najlepsze lata, to lata 90., gdy giełda się rodziła i każdego tygodnia na giełdę trafiały 2-3 spółki. Wszyscy, którzy niegdyś na niej grali i zarobiwszy wczas nie odeszli, dziś są w głębokim dołku, podobnie jak fundusze inwestycyjne. I wątpię, by giełda szybko się odrodziła. Choć kapitał jest pewnie potrzebny jak nigdy, by gospodarkę rozruszać.

Na szczycie unijnym nadal dyskusje o przyszłym budżecie i przeciwdziałaniu kryzysowi wywołanemu pandemią i spadkiem produkcji oraz bezrobociem. Różnice są tak wielkie, że nawet Angela Merkel nie bardzo wie, że przywódcy państw wyjadą stąd pogodzeni. Ponoć prezydent Francji Macron nawet uderzył parę razy pięścią w stół, grożąc zerwaniem rozmów. Na razie zwycięża opcja tzw. krajów oszczędnych, Austrii, Holandii, Danii, Szwecji i Finlandii. Niektórzy wierzą jednak, że dojdzie do ugody. Imposibole (nie-możliwe) stanie się możliwe. Debata miała trwać 2 dni, a trwa już 4. I chyba to nie koniec?

cdn.

Miroslaw Osowski



Rys. Barbara Medajska

POEZJA

Renata Blicharz, *Nigdy nie będę*. Opracowanie redakcyjne: Jerzy Dobrzański. Projekt okładki: Renta Blicharz. Ilustracja na okładce: Anna Aleksandrowicz-Kwiatkowska, *Abstrakcja zimowa*, akryl 2023. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2026, s. 58.

Edmund Borzowski, *Hieroglify drogi*. Redakcja poetycka, wstęp, kompozycja i tytuł zbioru: Harry Duda. Opracowanie graficzne: Wojciech Kowalczyk. Opracowanie edytorskie: Alicja Młynarczyk. Wydawcy: Edmund Borzowski i Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. E. Smółki, Opole 2020, s. 130.

Edmund Borzowski, *Garbus idzie*. Redakcja poetycka, tytuły cyklów, kompozycja i tytuł zbioru: Harry Duda. Projekt okładki: Martyna Sobolewska. Opracowanie edytorskie: Wacław Maślanka. Wydawca: Wydawnictwo Cywilizacja Miłości, Opole 2026, s. 140.

Harry Duda, *Księga Hioba wierszem*. Projekt okładki: Bolesław Polnar. Redakcja i korekta: Zespół. Wydawca: Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 2001, s. 128.

Harry Duda, *Księga mądrości Syracha (czyli Eklezjastyk) wierszem przez Harry'ego Dudę*. Redakcja merytoryczna: prof. dr hab. Danuta Bieńkowska, prof. dr hab. Anna Lenartowicz-Zagrodna. Posłowie: prof. dr hab. Danuta Bieńkowska. Opracowanie edytorskie: Wacław Maślanka. Projekt okładki: Zbigniew Krygiel. Wydawnictwo Cywilizacja Miłości, Opole 2024, s. 234.

Irena Tetlak, *ona nadal gra w teatro real*. Wybór wierszy. Wybór wierszy: Magdalena Koperska. Na okładce i w środku obrazy Ireny Tetlak (akryle na płótnie). Korekta: Zespół redakcyjny. Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2026, s. 80.

Barbara Tylman, *Bez ograniczeń*. Wydawca: Press & Publishing, Piła 2026, s. 46.

Andrzej Walter, *Zero jeden zero*. Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Wstęp: Andrzej Dębowski. Redaktor techniczny: Paweł Kucypera. Korekta: Zespół. Projekt okładki: Andrzej Walter. Wydawnictwo Adam Marszałek sp. z o.o., Toruń 2026, s. 60.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Krzysztof Budziakowski, *Karm kruki, a one wydziobią ci oczy*. Opracowanie redakcyjne: Bożena Szwarc-Budziakowska, Aneta Tkaczyk. Projekt okładki: Grzegorz Choroszy. Obraz na okładce: Grzegorz Stec, *Pusty Kłown*, olej na płycie. Wydawnictwo Księgarnia Aka-

demicka, Kraków 2026, s. 246.

Bartosz Ćwir, *Krucjaty a sprawa polska*. Przygotowanie map: Bartosz Ćwir. Koncepcja artystyczna okładki: Piotr Tobała-Pertkiewicz. Przygotowanie materiałów do druku: Maciej Harbasz. Redakcja i korekta: Anna Olechno. Na okładce wykorzystano obraz Jana Matejki „Władysław Jagiełło z Witoldem modlący się przed bitwą pod Grunwaldem”. Wydawnictwo Prohibita, Warszawa 2020, s. 266.

Maciej Dobrzański, Marcin Domino, *Księga Fränkłów i Pinkusów. Poznaj historię prудnickich fabrykantów*. Redakcja: Maciej Dobrzański. Konsultacja merytoryczna: prof. Krzysztof A. Kuczyński, dr Arkadiusz Baron. Redakcja językowa i korekta: Bartosz Sadliński, Maria Leduchowska-Dobrzańska. Koordynacja projektu: Ewelina Rusnak, Agencja Sportu i Promocji w Prudniku. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Patrycja Pawlik. Zdjęcia na okładce: Rodzina Fränkłów i Pinkusów, 1910, źródło: Leo Baeck Institute (górne), *Panorama Fabryki S. Fränkel*, autor Jakob Weeser-Krell, Schloss Haus, 1893. Recenzenci: prof. dr hab. Krzysztof A. Kuczyński, prof. dr hab. Edward Białek. Wydawca: Agencja Sportu i Promocji w Prudniku, Prudnik 2026, s. 352.

René Grousset, *Epopeja krucjat*. Przełożył z francuskiego: Piotr Tylus. Recenzja: prof. dr hab. Grzegorz Kucharczyk. Redakcja: Wojciech Golonka. Projekt okładki: Iwona Pikul. Do okładki wykorzystano obraz Dominique-Lousisa Papety'ego „Wilhelm z Clermont broniący Akki w 1291 roku”. Wydawca: Instytut Dziedzictwa Europejskiego Andegavenum, Kraków 2023, s. 352.

Artur Krajewski, *Dzieło*. Wstępy: prof. Iwona Szmelter, prof. Daniel Sobota. Redakcja i korekta: Małgorzata Sowińska, Magdalena Tytuła, Jerzy Jankowski. Ilustracje i opracowanie graficzne i DPT: art K-Raj. Wydawcy: Akademia Sztuk Pięknych i Fundacja Kultury i Sztuki artHOLDING, Warszawa 2026, s. 200.

Rafał Tańczak, *Jak przestać palić od teraz?*. Redakcja: Joanna Rogowska. Korekta: Renata Tańczak. Ilustracje: www.pixabay.com. Wydawca: Academia Alter Modus, Opole 2017, s. 268.



Renata Blicharz

Nic mnie tu nie trzyma

Gdybym tak przecięta nagle
niewidzialną nić grawitacji.
Cóż, zapewne stałabym się
jeszcze jednym obłokiem.

Choć nic mnie tu nie trzyma
trzymam się
dosłownie na włosku.

Diagnoza

I
Gdybym byłą doktorem od literatury
mogłabym diagnozować
tonem nieznoszącym sprzeciwu orzekać
dokonywać skomplikowanych operacji
interpretacji i analizacji
recenzją chłostać

ogłaszałamby ex cathedra poety
mierność
koniec
a nawet śmierć

i kto co
mógłby mi zrobić

II
zwłaszcza że miałabym
w zanadrzu
dobrego kolegę innego
doktora literatury

Szeptane

Jego słowa – nawet oddech –
nadają tempo mojemu sercu.
Wybijają rytm, wyznaczają metrum.

Tak właśnie
– jak w tamtej
nieśmiertelnej piosence –
szeptem do mnie mów...
mów szeptem...

Bo –
szept piętnuje trwalej
niż krzyk.

Gdzie podziła się noc

Zachód słońca późną nocą,
wschód – skoro świt.

W ten oto sposób
upalny lipiec
oszukuje dla nas czas.

Miroslaw G. Majewski

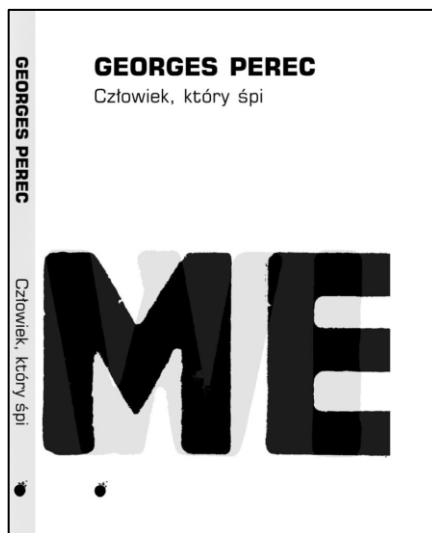
Buszujący w antykwariatach

(13)

Człowiek, który śpi

Przed lekturą tej książki warto zapoznać się z biografią autora, uważam że będzie to pomocne w zrozumieniu tej powieści. Dobrze też zaopatrzyć się w mapę Paryża ponieważ **Georges Perec** prowadzi czytelnika nie tylko po tych znanych z turystycznych folderów miejsc, ale również po zaułkach, robotniczych dzielnicach nędzy i to bez względu na porę roku czy dnia. Somnambulizm tej książki porywa nas od samego początku, a więc mamy 25-cio letniego bohatera, studenta socjologii, który z niewiadomych nam do końca przyczyn postanowił uprawiać przedziwnego rodzaju eskapizm, który zaczyna się od niewpuszczaniu do swojej mansardy swoich przyjaciół z uczelni, którzy na początku powieści dość często go nachodzą dobijając się do drzwi lub wsuwając liściki pod nimi. Bohater prawie wstrzymuje oddech by nie dawać znaku o swojej obecności, spokojnie wyczekuje aż wizyty robią się coraz rzadsze by w końcu zniknąć. Georges Perec snuje swoją opowieść w drugiej osobie liczby pojedynczej, tak, jakby był obserwatorem samego siebie a zarazem stawia czytelnika na swoim miejscu. To nas dotyka coraz bardziej rozwijająca się alienacja, to my unikamy przypadkowych spotkań ze znajomymi, aby uchronić się od krepujących rozmów, to my palimy papierosy marki Gauloises, chodzimy codziennie do tej samej kafejki na śniadanie, zwiedzamy wszystkie muzea jakie tylko są w Paryżu mogąc stać kilka godzin przed jednym obrazem w ogóle go nie zapamiętując. To my godzinami leżymy na wąskim łóżku z uniesionymi kolanami i rękoma za głową wpatrując się intensywnie w sufit medytując nad jego wypukłościami, wklęsłościami, nieregularnymi liniami wyobrażając sobie jakieś figury, które ożywiają sufit w naszej mansardzie. To my słuchamy ciągłego kapania wody w zlewie na korytarzu, ponieważ nasze mieszkanie pozbawione jest takich luksusów jak bieżąca woda czy toaleta. To my słuchamy odgłosów sąsiada, który mieszka za cienkim przepierzeniem, słuchając jego szurania kapciami, otwierania i zamykania szuflad próbujemy wyobrazić sobie jego życie. To my zastanawiamy się, czy czasem nie mijaliśmy się z nim na schodach albo na ulicy, w każdym bądź razie niewiele o nim wiemy, nawet tego jak wygląda. To my żyjemy w tej bańce alienacji

i eskapizmu. Chociaż z drugiej strony prowadzimy normalne życie, chodzimy do kina, często na film który oglądaliśmy już kilka razy, ale tak, jakbyśmy widzieli go pierwszy raz. Zaliczyliśmy wszystkie muzea w Paryżu, ale tak, jakbyśmy nie byli w żadnym. Życie w czystej formie bez żadnych dodatków, takie nieświadomione wejście na buddyjską drogę, gdzie oddech, wdech i wydech jest istotą naszej egzystencji doprowadzając nas (być może) do Nirwany. Pozwalamy się nieść życiu, zamiast nieść życie.



Książka ma zaledwie 150 stron ale odciska w czytelniku większe piętno niż ośmuset stronicowa cegła, czy wielotomowe sagi. Jest jak narkotyk albo dobra dwunastoletnia whisky Chivas, która pozostawia swoje nuty smakowe na naszych kubkach smakowych i podniebieniu przez długi czas.

Pamiętamy ten smak.

„Człowiek który śpi” nie pozwala nam zasnąć w trakcie lektury.

Nie pozwala nam zapomnieć o sobie.

Dla tych, którzy jednak nie przeczytali biografii Pereca dodam że jego ojciec pochodził z Lubartowa a matka z Warszawy.



Rys. Sławomir Łuczyński

Grzegorz Bazylak

Wilda na wspak

Kominy unosiły się z dymem serdeczny palec
ugryzł niemowlę nerka straciła jednoróżka
wierzchowce dosiadały swoich jeźdźców
błąkały się wokół nas ulice i miasta szpitale

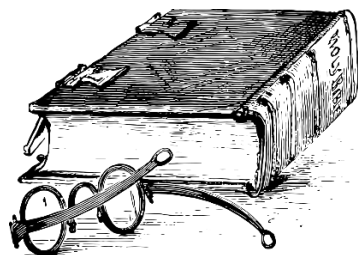
wypisały się z umarłych parki wkraczały
w jesień okna przyklejały się do twarzy
powieki wkręcały się w każdy sen szyby
uderzały w deszcz brzegi biły w morze

drzwi waliły w zaciśnięte pięści narracje
streszczały się w przestrzeń przejściowe
trudności gromadziły się amfiladowych
pokojach i dobierały do luksusowych

rajstop przemoc znała tylko dzieci świt
nie wstawał przed piekarzem rzeźnikiem
piwowarem bo ktoś musi być zawsze tym
najgorszym gdy inni stają się najlepszymi

Babia wieś

W środku tego miasta tuż za mostem
i pomnikiem powstańców
naprzeciw szpitala i całkiem blisko kościoła
garnizonowego
nad rozmokłym brzegiem Brdy rzeki
zbawienia rzeki zapomnienia
jak na granicy między lekiem a narkotykiem
wciąż stoi parkan
z przegniłych październikowych płyt który
osuwając się w nicłość
przywraca nas ludzkości jak intencja co
przestała być rozpoznawalna
gdy ktoś nabazgrał na nim czarnym sprejem
rozwartą paszczę wilka
obok spadającego z deskorolki tłustego
szczura oraz napisał słowa
wśluchane w siebie i przekaz spoza świata
algorytmów i aplikacji
jak strzęp alertu odezwu lub wiersza:
Głodny? Zjedz bogatych.



Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor naczelny – **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl